**Miesięcznie 1 zł**
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

# Moje Powieści

## ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 10 lipca 1938 r.* Nr. 28




Meksyk — płomienna, zmysłowością owian ziemia indyjska. Z nastaniem zmroku pełn melancholii pieśni przeplatają ciszę nadchodz cej nocy, padają na wielkie bagna, otoczon krzakami orchidei, na drogi poprzecinane w wozami i głębokimi rozpadlinami, na któryc gdzieniegdzie wznoszą się olbrzymie krzyż znacząc miejsca, gdzie w czasach ciągłych wa została przelana krew — przyćmiewają mg tęsknoty ciemne, palące oczy płomiennych M ksykanek i dają im chwilowe ukojenie, tonu podniecona wyobraźnię wszystkich awanturn ków, wszystkich poszukiwaczy przygód i fort ny, śniących o czarodziejskich ogrodach Atlantykiem.

MARIA REUTT

1)

# Pod obuchem posądzenia

Sześcioletnie bliźniaczki, Mania i Józia niczym małe laleczki w swych suto marszczonych, niebieskich sukienkach i ogromnych kokardach w jasnych włosach, kręciły się niespokojnie po ganku leśniczówki w oczekiwaniu Wasyla z końmi. Kręciły nerwowo główkami ,dreptały niecierpliwie nóżkami, obutymi w białe pantofelki, krzywiły płaczliwie buzie. Tylko Natalka z wyżyn swych szesnastu lat patrzyła spokojnie przed siebie na gazon przed domem, na ciemny las, czerniejący przed nią niby tajemniczy ,zwarty zielony mur, odgradzający ją od ludzi i szerszego horyzontu. Ubrana w różową, ze sztucznego jedwabiu sukienkę, różowy z dużym rondem kapelusz odbijała od sióstr, które nie były do niej ani trochę podobne.

Bliźniaczki o jasnych, wijących się puklach, koloru dojrzałego zboża, niebieskich oczach, buziach okrągłych i zadartych noskach mogły równie dobrze być dziećmi magnata, inteligenta, lub proletariusza, ale Natalka była w każdym calu panienką z pałacu. Mówiła o rasie jej twarz pociągła, o rysach regularnych, smukłe linie ciała i wdzięczny, a zarazem jakby wyniosły sposób trzymania głowy i patrzenia zielonymi, jak toń morska oczyma.

— Kiedyż ten Wasyl podjedzie — biadały dziewczynki, wytężając wzrok wypatrywaniem furmanki.

— Już zaprzęga — uspokajała je starsza siostra — ale przecież tatuś jeszcze nie gotów.

— Ten tatuś nigdy się nie spieszy — sarknęła porywczo Józia.

— Nie wolno ci odzywać się tak o tatusiu — upomniała ją siostra.

Skrzypiąc kołami wjechał w bramę półkoszek, zaprzężony w dobrze wypasionego konia i zatrzymał się przed gankiem, a jednocześnie we drzwiach ukazał się leśniczy, tęgi ,barczysty mężczyzna, o pospolitej twarzy i sumiastych wąsach.

— No, jedziemy dziewczęta — zawołał wesoło, siadając na wóz i odbierając od Wasyla lejce. Bliźniaczki nie czekały na zachętę. Lekko jak motylki wskoczyły na wóz i zagrzebały się w siano.

Leśniczy położył rękę na ramieniu starszej dziewczynki.

— Więc stanowczo nie chcesz jechać do Lewickich?

— Nie tatusiu, nudno mi tam.

Nachylił się niezgrabnie i pocałował ją w policzek. Objęła go za szyję i odwzajemniła wdzięcznie otrzymaną pieszczotę.

Leśniczy potrząsnął lejcami. Koń parsnął i ruszył z miejsca kłusem.

— Wasyl — krzyknął już od bramy — a wyprowadź Zefira na pastwisko!

— Dobrze, panie — odkrzyknął chłopak, zamykając za nim bramę.

Natalka została sama. Rozmarzonymi oczami patrzała w dal, na las, co szumiał przed nią tak tajemniczo.

W domu panowała cisza, niezamącona żadnym szmerem. — Mama pewno odpoczywa — pomyślała z małą domieszką niechętnej krytyki o swej ładnej matce, zawsze strojnej, o białych delikatnych rękach. Miała jej za złe to leżenie godzinami na kanapie, to ciągłe robienie manicuru i obmyślanie coraz to nowych stroi, gdy ojciec pracował jak wół od wschodu słońca do zachodu, a często i późno w nocy bez odpoczynku i ciepłych słów uznania.

Zeszła ze schodów, obeszła gazon i od furtki obejrzała się na dom, który miał raczej wygląd dostatniego wiejskiego dworu, niż leśniczówki. Długi, biało-zielony, o szerokim ganku od frontu i werandy od ogrodu, mieścił w sobie pięć dużych, widnych pokoi, umeblowanych dostatnio z dużą dozą pretensjonalności w stylu i sposobie urządzenia.

Przypomniała sobie leśniczówkę w Borowej u państwa Lewickich.

Zwykła, obszerna chata wiejska z gankiem o 2 słupkach ,trochę schludniejsza od innych chat — trzy pokoje z kuchnią: sypialnia, jadalnia, kancelaria. Sprzęty sosnowe, najprostsze, parę foteli koszykowych.

A u nich pięć dużych pokoi. Na prawo od wejścia kancelaria, stołowy i mamy pokój, nazywany przez nią szumnie buduarem, bo zamiast łóżka rozpościerał się modny tapczan, niski, szeroki, zarzucony barwnymi poduszkami.

Na lewo od sieni jej pokój i dziecinny. Jej cały na biało i różowo, dziecinny na błękitno malowany.

I mama zawsze strojna ,sprowadzająca sobie suknie z Warszawy. A ona na pensji u hr. Plater. Prawda, że za nią płaci zarząd dóbr hrabiego Stolińskiego, u którego służy jej ojciec, bo stara pani hrabina, matka obecnego hrabiego była jej chrzestną matką i umierając zapisała jej w testamencie różne legaty.

Przeszła przez furtkę, zasunęła za sobą zasuwkę i poszła przed siebie drogą leśną w bór, równą jak tor kolejowy, ciągnącą się między zielenią drzew, niby wstęga biała. Drogę tę deptała odkąd pamięcią sięga.

Szła tędy, lub jechała do pałacu starej hrabiny, która była dla swej chrzesnicy nad wyraz dobrą i troskliwą. Pamiętała o niej, obsypywała ją podarkami, a gdy podrosła, uczyła ją początków panna do towarzystwa hrabiny.

Kiedy skończyła lat dziesięć, na żądanie hrabiny odwiozła ją matka do Warszawy na pensję. Hrabina pisywała do niej, interesowała się jej postępami, płaciła za naukę i utrzymanie, pokrywała koszta wszystkich dodatkowych lekcyj języków i muzyki.

Umarła stara hrabina trzy lata temu, przed jej przyjazdem do domu na wakacje.

Panna Róża oddała jej staroświecki, złoty zegarek hrabiny, zawieszony na grubym, złotym łańcuchu i złoty pierścionek z czarną perłą.

Lubiła Natalka ten pałacyk i park cienisty. Biegała swobodnie po miękkiej, puszystej jak dywan murawie, a gdy się zmęczyła, siadała na stołeczku u nóg starej pani i czuła się tam tak dobrze, jakby kolebką jej był ten pałac hrabiowski, a nie skromna leśniczówka w Topcu.

Hrabina umarła, pałac zamknięto. Teraz Natalką mogła jedynie od czasu do czasu pobiegać po parku dzięki uprzejmości państwa Szustaków, zarządzających pałacem i folwarkiem Leśny Dwór. Pomimo, że było to lipcowe upalne południe, w lesie panował chłód i cień. Dziewczynka szła wolno, nie spiesząc się. Kochała las, gęstwinę, drzewa i śpiewną, rozświergotaną, rozbzykaną ciszę leśną. Nie bała się w lesie ni ludzi, ni zwierząt. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby ją tam spotkać krzywda.

Droga leśna, równa jak strzała, ciągnęła się cztery kilometry, rozgałęziając się u wylotu w dwie strony: na prawo do nadleśnictwa, na lewo do pałacu.

Na zakręcie zetknęła się z młodym człowiekiem, ubranym z miejska, pretensjonalnie w jasny, z surowego jedwabiu obcisły garnitur.

Na widok dziewczynki, wargi jego, malinowe jak u młodej dziewczyny, rozciągnęły się w przyjaznym uśmiechu powitania. Zdjął kapelusz i poufale powiał nim w powietrzu.

Natalka nie okazała żadnej radości z tego spotkania. Zacisnęła usta i kiwnęła niebale głową na jego ukłon.

— Idzie do nas — przebiegło jej niechętnie przez myśl — tatusia nie ma. Gdy się dowie o tej wizycie, będzie niezadowolony. On tak nie lubi, gdy do mamusi przychodzą panowie podczas jego nieobecności, i zawsze się gniewa o to. Niechęć gwałtowna do młodego człowieka ogarnęła jej serduszko. Jak ona nie cierpiała tych wszystkich młodych ludzi, którzy przychodzili do mamusi przeważnie pod nieobecność tatusia i poufale całowali ją w rękę i przytulali się do niej.

— Raz... ach jaki wstyd! Zobaczyła jak młody praktykant leśny, student wydziału leśniczego z Uniwersytetu Poznańskiego całował mamusię w usta, długo, bardzo długo, aż jej samej, patrzącej na to z werandy, zabrakło tchu.

Mamusia leżała wówczas w hamaku w różowym szlafroku i on poufale objąwszy ją w pół, całował i oderwać się nie mógł.



**Nowa rekordzistka świata w biegu na 100 yardów, Holenderka, Janny Koen**

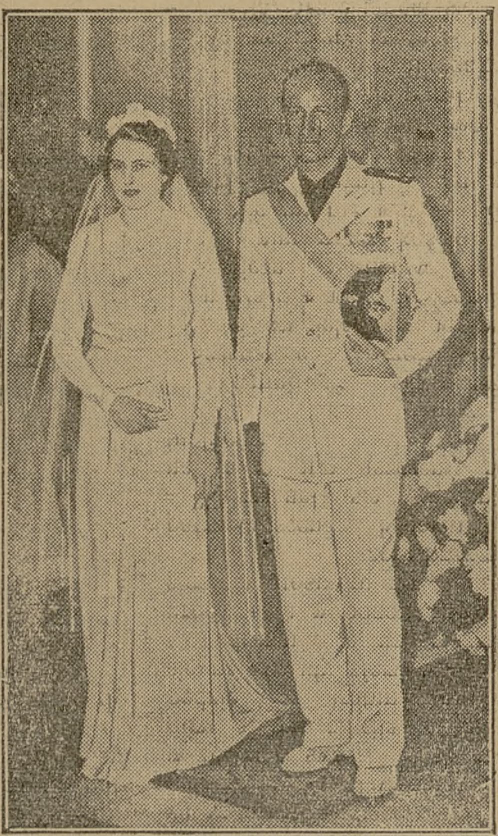
Chciała biec na obronę mamusi, krzyczeć o ratunek, gdy usłyszała śmiech mamy taki radosny, wesoły, beztroski.

Tego wrażenia niesmaku i przeogromnej przykrości nie może zapomnieć dotychczas, i ten śmiech wibrujący brzmi jej dotąd w uszach.

Kochała tę swoją śliczną mamusię, była z niej dumna, ale od tej chwili coś się w niej zmieniło, jakby jakaś struna pękła z harfy jej duszy dziecinnej, czystej i niewinnej. Nie biegała już z radością, że ta miła i śliczna pani to jej mamusia, nie spowiadała się ze swych dziecinnych trosk, a gdy zdarzało się, że była świadkiem, jak matka odpychała ojca, chylącego się do niej z pieszczotą, jak opryskliwie mówiła wtedy do niego: — Odejdź, nie przeszkadzaj mi — wracało jej przed oczy wspomnienie tamtych uścisków i zasmucone serduszko szeptało: — Tatusiowi, temu dobremu, kochanemu tatusiowi nie dawała się całować, a gdy tamten ściskał ją tak mocno, to pozwalała mu na to i śmiała się tylko. — I jej dziecinny umysł nie jest zdolny objąć tej różnicy zrozumieć i wyrozumieć. Ona wie tylko i czuje, że jej tatusiowi dzieje się krzywda i niesprawiedliwość i uraza do matki rodzi się i potęguje z czasem.

Umacniała się za to jej miłość do ojca, do tego kochanego, dobrego, milczącego człowieka i wzrastała z dniem każdym. Tęskniła za nim na pensji, czuła się dobrze w jego towarzystwie, bądź to w domu w leśniczówce, bądź w borze i na mokradłach.

Choć ojciec nigdy nie mówił nic, nie robił żadnych aluzyj do postępowania matki, czuła, że nie znosi on tych śmiesznych, kręcących się i dowcipkujących młodzieńców, przeważnie praktykantów rolnych i leśnych, sezonowych lub stałych, którzy otaczali jej matkę, sunąc korowodem po zajęciach do leśniczówki.



Córka niedawno zmarłego wynalazcy, Marconiego, wyszła ostatnio zamąż za prof. Gabriela Parsce, attaché prasowego Włoch w poselstwie londyńskim



Pamiętą, miała wtenczas lat jedenaście, bliźniątka jeszcze nie chodziły. Woziła je niańka w wózeczku, takie śmieszne małe laleczki, jedna ubrana na niebiesko, druga na różowo. Wróciła z pałacu cokolwiek wcześniej niż zwykle, bo hrabinę bolała głowa. Okna pokoju mamy były otwarte i rozmowa przez nie dochodziła do niej wyraźnie:

— Roma, mówiłem ci już nieraz, że nie życzę sobie, by te kundle włóczyły się ustawicznie koło domu, aby nadskakiwali ci, obcałowywali po rękach. Doprowadzisz mnie do tego, że któremu z nich kark skręcę, lub kości połamię, to wtedy może oduczą się włóczenia tutaj.

Och, ten śmiech matki, ironiczny, lekceważący, bezczelny.

— Chciałbyś może, żebym z tobą gruchała, co?

Dziecko nie rozumie, co w tym śmiechu jest złego, a jednak boli ją ten śmiech, kłuje w serduszko. Kurczy się ona w sobie, jakby od uderzenia rózgą, bo ma wrażenie, że śmiech ten bije ją po twarzy.

Od okna dobiega głuchy, bezbarwny, bezdźwięczny głos ojca, i taki smutny, że łzy napływają dziewczynce do oczu.

— Nie miałem o to do ciebie żadnej pretensji, ale mam prawo wymagać od ciebie uczciwości i poszanowania nazwiska mojego, które nosisz.

— Nie trzeba ci było żenić się ze mną, wiedziałeś kogo bierzesz!

I znów ten sam beznadziejnie smutny głos męski.

— Masz rację, nie trzeba było...

Odskoczyła od brzozy, pod którą stała i pobiegła w las.

Biedny, biedny tatuś — szeptały drżące usta dziecka i współczucie głębokie i silne ogarniało jego małą, niewinną duszyczkę. Nie rozumiała, nie umiała wytłumaczyć sobie, ani słów, które słyszała, ani rzeczy na które patrzyła. Intuicyjnie, instynktownie odczuwała, że coś było nie w porządku, że dziala się tu komuś krzywda i że najbardziej pokrzywdzony był ten cichy, niezgrabny, pracowity mężczyzna.

Wszystko to przebiegło jej przez myśl, gdy ujrzała tego młodzieńca.

Zniknął jej pogodny nastrój, zdmuchnięty zadowoloną miną mijającego ją mężczyzny.

Zwolniła kroku i cicha, zadumana, zgaszona szła drogą w lewo wśród sosnowych drzew. Dęby i olcha zostały na prawo, zielone, rozłożyste.

Skończył się las uciętą linią — przed oczami jej roztoczyła się polana w głębi której stała drewniana piętrowa willa, opleciona powojem i pnącymi się różami, ogrodzona niskimi sztachetami, na tle ciemnego sosnowego lasu, podszytego brzozą i leszczyną. Przy bramie, cokolwiek cofnięty w tył, ukryty wśród sosen stał domek rządcy, nieduży, czteropokojowy budynek, stylem dopasowany do pałacyku.

Tam, do tego domku skierowała swe kroki.

Minął dla niej bezpowrotnie ten czas, gdy mogła bez pytania otworzyć sobie furtkę i śmiało wkroczyć do parku i pałacu.

Dziś obcy ludzie objęli to w posiadanie — syn i synowa, których nie interesuje osoba Natalki Szołomickiej, córki leśniczego. Młody hrabia i hrabina mają swoje własne dziecko — Nela — dziesięcioletniego wątłego, delikatnego chłopca, cóż więc ich może obchodzić jakaś tam leśniczanka.

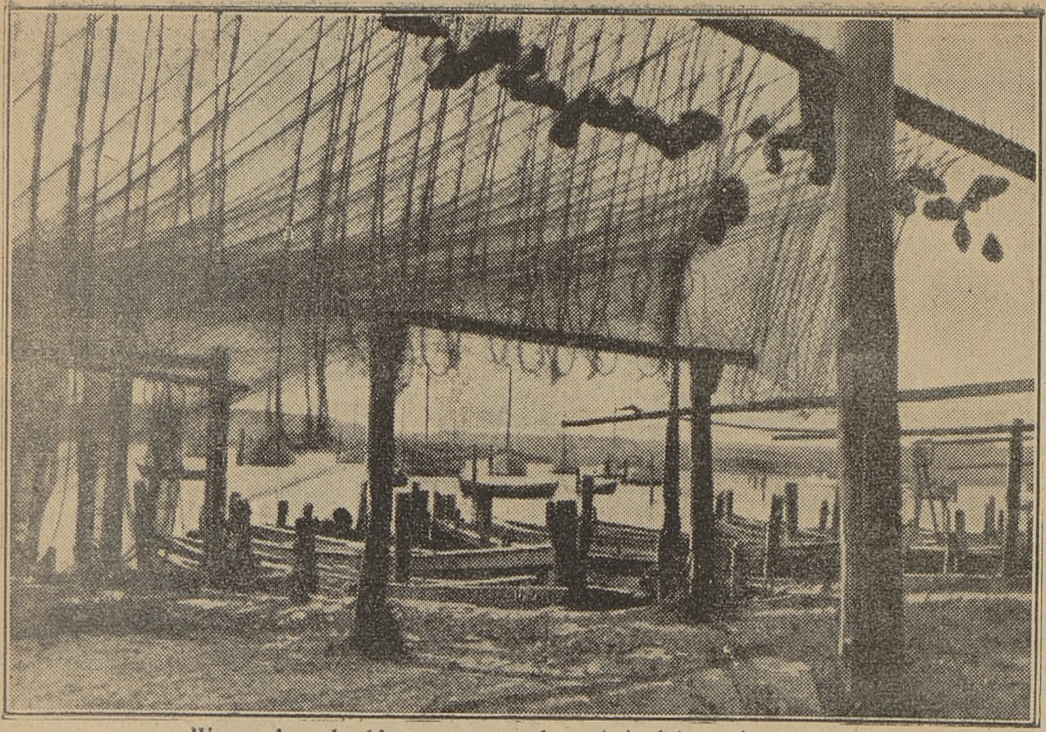
Spotkał ją zawód. Domek państwa Szustaków zastała pusty, zamknięty na kłódkę od frontu.

Nawet służba porozchodziła się po kątach. Na straży domu została jedynie stara, przygłuchawa Nastka, siedząca na przyzbie przy drzwiach kuchennych.

Na zapytanie gdzie państwo, odpowiedziała, sepleniąc i mamląc słowa bezzębnymi ustami:

— Ne ma, poichali do Borowina.

Kiwnęła głową kobiecie na pożegnanie i zawróciła do domu.



**W porcie rybackim zapanował spokój dnia świątecznego**

Szła wolno, myśląc ze smutkiem o zmarnowanym popołudniu świątecznym. — Szkoda, że nie pojechałam z tatusiem i dziewczynkami. Nie chciała tam jechać, gdyż państwo Lewiccy mieli dwoje drobnych dzieci, które ustawicznie naprzykrzały się, by je brała na ręce. Ale lepsza była nawet wizyta tam, niż ta samotna powrotna podróż i perspektywa spędzenia popołudnia z matką i młodym człowiekiem. Nie miała z matką już teraz nic wspólnego i ilekroć zostawała z nią sama, milczała. Matkę drażniła ta małomówność córki, a tę znów krępowała obecność lekkomyślnej rodzicielki.

— Wejdę cichaczem do pokoju, wezmę książkę i pójdę czytać do ogrodu — pomyślała z westchnieniem.

Na wsi najnudniejsze są niedziele. O ile ktoś znajomy nie wpadnie, cicho, sennie i pusto wygląda wieś, czy dwór, nawet Żyd z interesem nie zajedzie.

Na pół drogi do domu spotkała parę jeźdźców — mężczyznę i kobietę. Na pewno hrabia i hrabina — pomyślała, przyglądając się jadącej naprzeciw parze.

Usunęła się pod drzewo, gdy ją mijali. Kobieta obejrzała się na nią. Wprawnym okiem otaksowała jej rasową, pociągłą twarz o rysach regularnych i zgrabną sylwetkę, ubraną gustownie.

Jedna rzecz, która matkę interesowała i pasjonowała to stroje. Ubierała gustownie, dbając o najmniejszy szczegół nawet w bieliźnie. To był jej żywioł. Stroje i flirt.

— Kaziu, what a charming girl (co za ładna dziewczynka) — zwróciła się do męża hrabina po angielsku.

— Kto ona, ciekawa jestem?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział, przyglądając się jej również.

Hrabina zwróciła konia w stronę dziewczynki, która stała wyprostowana z hardo podniesioną głową, niezadowolona, że jej się tak przyglądano.

— Coś ty za jedna, panienko! — zapytała. Głos miała miły i łagodny.

— Natalka Szołomicka z leśniczówki Topiec — odpowiedziała uprzejmie z ukłonem pozbawionym uniżoności.

Szołomicka? — zastanowił się hrabia, jakby mu to nazwisko majaczyło się jakimś niejasnym wspomnieniem po mózgu.

Twarz hrabiny rozjaśniła się miłym, przyjaznym uśmiechem. — Ach, to chrzestna córka mamy, o ile sobie przypominam — zwróciła się do męża.

W oczach hrabiego pojawił się wyraz lekkiego zmieszania, połączonego z zaciekawieniem. Obejrzał ją od stóp do głowy badawczo.

Hrabina wyciągnęła do niej rękę, opiętą w łosiową rękawiczkę — może panienka mnie odwiedzi którego dnia. Mieszkamy obecnie w Leśnym dworze, gdyż doktór przepisał Nelowi jako kurację przebywanie w sosnowym lesie. Będę pani bardzo rada, tyle o niej słyszałam od matki.

Dotknęła nieśmiało ręki hrabiny.

— Dziękuję, z przyjemnością przyjdę — obiecała, dodając z otwartością dziecka — za życia pani hrabiny przychodziłam do pałacu często i teraz tęsknię za tymi wizytami.

— A więc do jutra — pożegnała ją hrabina ujmującym uśmiechem. Hrabia uchylił kapelusza.

Smutny nastrój Natalki prysł. Wracała do domu podniecona spotkaniem dziedziców i zaproszeniem do pałacu, którego drzwi uważała już za zamknięte dla niej na zawsze. Przyspieszyła kroku, bo chciała czym prędzej podzielić się z matką tą wiadomością.

Zdziwiła się nieprzyjemnie, gdy zastała drzwi frontowe zamknięte z wewnątrz. Obeszła dom naokoło, ale i kuchenne były zamknięte, a przecież jak odchodziła, Chryścia była jeszcze w kuchni. Spróbowała oszklonych drzwi werandy, ale i te nie ustąpiły pod jej naciskiem. Nie namyślając się długo i nie zastanawiając się, co to może znaczyć, wspięła się zręcznie na parapet i weszła przez okno cichutko do jadalni. — Może matka śpi. Może się omyliła w swych podejrzeniach co do młodego praktykanta rolnego, i ten szedł do kogoś innego w odwiedziny, koło leśniczówki prowadziła droga do miasteczka i Borowej. Poczuła do siebie żal, że posądziła matkę.

Lecz gdy tylko stanęła na podłodze stołowego pokoju dobiegł ją skarżący się głos matki, broniący się jakby przed czymś lub przed kimś.

Przeraziła się. Serce jej zabiło ciężko w piersi. Po chodniku, który tłumił jej kroki podeszła do uchylonych drzwi, zza których znów dobiegł ją rozkapryszony głos matki.

Dziewczynka śmiertelnie blada, ze zgrozą przerażenia zastygłą w zielonych, przezroczystych oczach, cofnęła się od drzwi.

Natalka trzęsła się jak w febrze. Miała wrażenie, że czyjaś złośliwa ręka chlusnęła na nią pomyjami, że zbeszcześciła, zbrudziła ją, że zgniłe, śmierdzące zlewki wżarły się w jej skórę, wcisnęły się do nosa i gardła. Poczuła gwałtowny ucisk w okolicy serca i żołądka, nudności chwyciły ją za gardło.

Jak gazela jednym susem dopadła okna, przesadziła je i popędziła w las.

Upadła na murawę i chwilę leżała jak nieżywa. Dźwignęła się automatycznie z ziemi i odruchowo poszła drogą, która wiodła do leśniczówki w Borowej. Szła na spotkanie ojca. Instynktownie szukała u ojca pociechy w tym, co ją spotkało i wstrząsnęło do głębi duszy.

Droga ciągnęła się cały czas lasem, malownicza w swej dzikości. To las gęsty rozpościerał się z obydwóch stron drogi, niby mur zielony, nieprzebyty, to znów szkliło się w promieniach słońca jeziorko przydrożne, lub mieniły wszystkimi odcieniami zieleni od szmaragdu po seledyn łąki - moczary.

Słońce chyliło się ku zachodowi, wolno znikało za lasem, a ona szła bez zatrzymania. W ruchu ciągłym szukała zapomnienia widzianego obrazu, uciekała przed myślami. Słońce znikło za lasem, zapadał zmrok letniego wieczoru, od ziemi podnosiły się białe tumany mgieł, a ona wciąż parła naprzód. Wreszcie las się skończył. Wyszła na polanę całą zasnutą opalową mgłą oparów. Kłębiły się one, to pełzały po ziemi, to na kształt dymu unosiły się ku górze.

Usiadła na zwalonym pniu i dłońmi powiodła po twarzy.

Usta jej wyszeptały żałosną skargę: — mamo... mamo... W tej skardze dźwięczał i ból i żal i wyrzut.

Zza mgieł wysunął się wózek.

— Tatuś! — radość załopotała w jej sercu. Radość i ulga, że ten jej ukochany tatuś jest już blisko, że on jeden jej nie zawiódł, że obroni ją, odsunie od tego błota, w które pogrążyła ją rodzona matka.

Biegła na jego spotkanie z rozpostartymi rękami, jak na skrzydłach niosła ją radość, że on już jest blisko.

Leśniczy zatrzymał konia i wyskoczył przerażony.

— Co się stało? — zawołał.

Przypadła mu do piersi, wtuliła się mocno w jego ramiona.

Tak kurczowe, tak pełne przerażenia były jej ruchy, że mężczyznę chwycił lęk.

— Tusiu, co się stało? — pytał zaniepokojony. — Skąd się tu wzięłaś.

Rozpłakała się i wśród łez odpowiadała:

— Nic, tatusiu, nie zastałam pani Szustakowej i tak mi smutno się zrobiło, tak samotnie, że wyszłam naprzeciw ciebie.

— Głuptasku — szepnął już uspokojony — siadaj. — Podsadził ją na wóz i u-

sadowił między dziewczynkami, które choć senne opowiadały jej na wyścigi o wszystkim, co robiły w gościnie domu państwa Lewickich. Siedząc przy boku ojca, słuchając bezładnych opowiadań dziewczynek o tym, jak mała Niusia Lewicka wpadła do sadzawki w nowej sukience, jak tę sukienkę potem suszyły na słońcu i od tego skurczyła się i zbladła, uspokajała się Natalka. Przychodziło odprężenie nerwów, choć ból został ten sam kłujący.

W domu jadalni paliła się lampa, szumiał samowar, stół był nakryty do kolacji.

Matka w tym samym płomiennym szlafroku czekała na nich, siedząc w bujającym fotelu z tygodnikiem mód w ręku.

Bliźniaczki rzuciły się matce na szyję, dusząc ją niemal w uścisku. Odpychała je delikatnie.

— No, dosyć... dosyć... zadusicie mnie.

Natalce, czerwony szlafrok przedstawił widzianą tak niedawno scenę w całej jej ohydzie. Spojrzała na spokojną, ładną, starannie upudrowaną twarz matki; zdumiał ją pogodny uśmiech na jej twarzy. Przeraził ją ten uśmiech i ta pogoda.

— Jakto, po takim bezwstydzie, po takim ciężkim, śmiertelnym grzechu można wyglądać tak niewinnie i wesoło? Przejść nad tym do porządku dziennego, jakby nigdy nic, uśmiechać się, ze swobodą rozmawiać z mężem i dziećmi. Nie, to było jeszcze gorsze i ohydniejsze w jej pojęciu.

A matka nie przeczuwając jej uczuć i myśli broniła się łagodnie i żartobliwie przed gwałtownymi pieszczotami bliźniaczek:

— No dosyć... dosyć... chodźcie na kolację.

Ale dziewczynki były senne. Nie chciały kolacji. — Nie jesteśmy głodne, najadłyśmy się truskawek ze śmietaną. Spać nam się tylko chce. Pocałowały jeszcze raz matkę i ziewając pobiegły do swego pokoiku. Skorzystała z tego Natalka i podziękowała również za kolację. — Nie jest głodna, głowa ją tylko boli, pójdzie się również położyć. Wyszła, nie spojrzawszy na matkę, nie dawszy jej zwykłego pocałunku. Przechodząc przez kancelarię zobaczyła ojca przy biurku. Zapisywał jakieś rachunki. Światło małej naftowej lampki padało na jego jasne włosy, tworzące z nich jakby aureolę.

Zatrzymała się przy nim, pochyliła do jego twarzy i pocałowała w policzek.

— Dobranoc tatusiu, idę spać. Nie będę nic jadła, bo głowa mnie boli.

Dotknął jej czoła, popatrzył w zmętniałe posmutniałe źrenice.

Próbowała się uśmiechnąć.

— Nic mi nie jest, tatusiu. Zmęczyłam się tylko spacerem.

* * *

W łóżku leżała cichutko ,udając że śpi. Obawiała się, że matka może zajrzeć do niej, gdyż na ogół była dosyć troskliwa o wszystkie trzy swoje dziewczynki.

* * *

— Jestem niespokojny o Natalkę — mówił leśniczy, gdy siedzieli razem z żoną przy kolacji.

— A co? — zapytała, podnosząc chleb z szynką do ust.

— Spotkałem ją pod samą Borową prawie. Czekała na mnie przy drodze. Wyglądała zdenerwowana, czymś przejęta. Jak



Na przyjazd angielskiej pary królewskiej do Paryża projektowano m. in. wspaniałe korso na Sekwanie. Na zdjęciu łódź, mająca przedstawiać słynnego potwora wodnego z Loch-Ness w Anglii

mnie zobaczyła, rozpłakała się. Tutaj znów nie chciała jeść, mówiła, że głowa ją boli.

Zaniepokoiła się. — Skąd ona się wzięła pod Borowinem, miała przecież odwiedzić Szustaków. Wybierała się tam cały ranek.

— Nie zastała Szustaków i wobec tego poszła w naszą stronę.

— Więc przechodziła koło domu, a może była we środku — przemknęło jej przez myśl. W pewnej chwili miała wrażenie, że coś się poruszyło w sąsiednim pokoju, ale przypuszczała, że kot, lub pies wśliznął się z sieni. Drzwi były zamknięte — uspakajała siebie. — No, a okno? przecież było otwarte, a Natalka umiała zręcznie, bez wysiłku wdrapać się na futrynę. Nieraz to robiła, uciekając przed bliźniaczkami. Ścierpła jej skóra na tę myśl. Przypuszczenie to było zupełnie możliwe, a zachowanie jej po powrocie było takie dziwne. Nie przywitała się z matką, nie zbliżyła, i to szybkie odejście!... Najmniej ze wszystkich dzieci lubiła tę swoją najstarszą córkę. Uważała ją za przyczynę wszystkich swoich klęsk życiowych, zawodów, a była chwila, że spodziewała się, iż będzie ona drabiną, po której wciągnie się na szczyty sfery towarzyskiej. A przytem drażniła ją ustawicznie pańskość jej urody i ta wrodzona, mimowolna wyniosłość w stosunku do otoczenia.

— Tego by jeszcze brakowało, żeby podpatrzyła scenę z Klemensem!

Wstrząsnęła się, gdyż przejął ją chłód na samo przypuszczenie podobnej ewentualności.

Ruch ten zauważył mąż.

— Zimno ci? — spytał troskliwie.

Szesnaście lat przeżyli ze sobą, a osoba ślicznej, wypielęgnowanej pieczołowicie żony miała dla niego ten sam urok co wtedy, gdy śliczna ,wiotka w bieli ślubnej szaty szła z nim przez kościół od ołtarza.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała opryskliwie. Drażnił ją sam widok tego wąsala dziś po latach szesnastu tak samo, jak wówczas, gdy przysięgała mu wierność i miłość w kościele parafialnym.

Ziewnęła szeroko, nie zakrywając ust, ani nie powstrzymując tego ziewania.

Wstała, przeciągnęła się. — Idę spać.

Schowała do kredensu cukier, masło, wędlinę i poszła do siebie, nie kiwnąwszy nawet głową mężowi, nie obejrzawszy się na niego. Nie liczył się wcale w jej życiu. Miała ciekawą książkę do czytania, „Pas cnoty" Pitigrillego, którą przyniósł jej dziś praktykant. Przejrzała ją już pobieżnie, a nawet zaczęła czytać. Z powodu kolacji musiała przerwać w najciekawszym miejscu. Ciągnęło ją nieprzemożnie do czytania, a tu temu niedołędze zbiera się na czułości.

Gdy wyszła, gdy drzwi za nią zamknęły się z trzaskiem, leśniczy opuścił głowę i westchnął ciężko. — Zawsze ta sama.

* * *

Zaledwie świt zarumienił wschodnią część nieba leśniczy podniósł się z tapczana, na którym sypiał. Zachlupała woda w miednicy, zaskrzypiały nakładane buty i leśniczy w szarej świtce i długich butach wyszedł na dwór.

Zaspany parobek wiódł konie do studni, ziewająca dziewka niosła skopek z mlekiem.

Od boru szedł chłód, mgła i świergot rozbudzonych ptaków, monotonne buczenie bąków i krzyk dzikich kaczek z pobliskiego błota.

— Wasyl, załaduj wóz i podjedź pod bramę — rzucił rozkaz parobkowi przyciszonym głosem, by nie obudzić żony i skierował się do kuchni, gdzie pod blachą huczał ogień i bulgotała woda w garnku. Na środku kuchni stała Natalka, ubrana w codzienną perkalową sukienkę, na bosych nogach miała sandałki, na głowie granatowy berecik. Zdziwił się leśniczy, zobaczywszy ją.

— Chcę jechać z tatusiem do lasu na cały dzień, jak dawniej, gdy byłam malutką.

Ucieszył się. Tak lubił towarzystwo tej swojej najstarszej córki w wędrówkach leśnych. Siedziała w takich wypadkach koło niego cichutko jak myszka, od czasu do czasu tylko zagadując.

— Naprawdę chcesz jechać? Znudzisz się.



**Rasowe charty rasy Barsoi na wystawie w Berlinie**

— Z tatusiem? — zdziwiła się. Wydało jej się zabawnym przypuszczenie, żeby ona mogła się nudzić w lesie i do tego z ojcem!

— No to idź do pokoju i przygotuj prowiantu na cały dzień, tylko cichutko, żebyś nie obudziła matki i dziewczynek.

Wsunęła się do jadalni i wydostała potrzebne zapasy. Ze spiżarni wzięła słoniny, kartofli, jajek.

W kuchni napili się stojąc gorącego mleka i nim słońce ukazało się zza lasu, już ich nie było na podwórzu.

Leśniczy jechał do odległego o dwadzieścia kilometrów rewiru, gdzie komisja leśna miała szacować las i naznaczać drzewo, nadające się do wyrębu.

Przepadała za wycieczkami z ojcem w głąb boru. Bliźniaczki nie dały się nigdy namówić na podobną majówkę. Nudziła ich długa jazda i całodzienne przebywanie w lesie. — Nic, tylko drzewa i drzewa, cóż to za przyjemność — sarkały.

A dla niej to morze zieleni, te puszcze szmaragdowe stanowiły niewysychające źródło radości. Gdy ojciec chodził z panami, rzeczoznawcami z komisji, ona rozpalała ogień, gotowała wodę, piekła kartofle, smażyła słoninę i czekała na ojca.

Po południu, gdy zbierała jagody, przyjechał hrabia. Nie poznał jej. Pytał leśniczego, co to za jedna. Przykrość i przymus odmalował się na twarzy leśniczego.

— Moja najstarsza córka — odpowiedział — jąkając się.

Pomieszanie ukazało się przelotnym rumieńcem na twarzy hrabiego.

— Czy tylko tę jedną pan ma — zapytał znów, przyglądając się zręcznej postaci dziewczynki.

— Nie, mamy jeszcze dwie córki, bliźniaczki.

— Młodsze?

— Młodsze.

— Aha, mruknął hrabia, idąc do dębu. Przez chwilę oglądał go uważnie i z zajęciem. Dąb miał w obwodzie ze sześć metrów i poorany był od pioruna.

Rozmowa prywatna z leśniczym o jego prywatnych sprawach została zakończona. Zainteresowanie hrabiego dla rodziny leśniczego ograniczyło się do tego.

* * *

Wrócili o wpół do jedenastej w nocy. Wyjechali o zachodzie słońca, a że droga wiodła częściowo wśród błot, jechali więc wolno, by po ciemku nie zboczyć i nie ugrzęznąć w trzęsawisku.

Bliźniaczki już spały, a matka zamknęła się u siebie.

Natalka odetchnęła z ulgą. Doznawała prawie że fizycznego bólu w piersiach na myśl, że zobaczy matkę, że będzie musiała jak nigdy nic rozmawiać z nią, patrzeć jej w oczy. Bojąc się, by matka przypadkiem nie wyszła do nich, wymówiła się od kolacji, choć była bardzo głodna, i wziąwszy z kuchni szklankę mleka, poszła do siebie i wkrótce spała mocnym snem.

Zbudziły się bliźniaczki. Jedna przez drugą chciały jej powiedzieć, że przyjeżdżała po nią końmi hrabiowskimi pani Szustakowa i prosiła, żeby dziś koniecznie przyszła do pałacu. Hrabina czekała na nią wczoraj całe popołudnie.

Prawda, w swym zmartwieniu zapomniała o zaproszeniu hrabiny.

By drugi raz się nie przebierać, ubrała się od razu w odświętną lila sukienkę, biały, słomkowy kapelusik i sandałki.

Bliźniaczki były już po śniadaniu. Czekały na ojca, który miał ich zabrać ze sobą do młyna. Matka jak zawsze wylegiwała się do południa, jedząc śniadanie w łóżku.

— A może ty pojedziesz z nami? — pytały.

Natalka ucieszyła się. Uniknie spotkania z matką. jeszcze jeden dzień zyska, by opanować i żal i odrazę, by uspokoić się.

Pojedzie. Tam tak ślicznie, no i niedaleko do Leśnego Dworu. Można podjechać łódką.

Wypiła trochę mleka w kuchni na stojąco. Jeść nie chciała. Nie mogła nic przełknąć. Jedzenie dusiło ją w gardle.

Jedną miała myśl: uciekać jak najprędzej domu. Uniknąć za wszelką cenę spotkania z matką!

Długo marudził Wasyl przy zaprzęganiu koni, a jej serce drżało ze strachu, a nuż matka wyjdzie na ganek?

Z ulgą powitała moment odjazdu. Nie wiedziała, że matka wstała już dawno i przez firankę obserwowała ją i że ona również unikała spotkania z córką, nie będąc pewna, co widziała, lub czego domyślała się dziewczyna.

Czas to najlepszy doktór — goi wszelkie rany, zabliźnia je, łagodzi ból lepiej od opium i morfiny. Chciała i ona zyskać na czasie.

* * *

Do młyna jechało się drogą polną, miejscami łąkami, zapadając raz po raz w błoto. Młyn stał nad Jasiołdą. Z daleka już słychać było jego furkotanie i szum wody. Na horyzoncie, za pasmem szmaragdową trawą pokrytych błot rysowały się kontury szarych, słomą krytych chat, stojących wśród pustych ,bezdrzewnych podwórzy. Gdzieniegdzie tylko samotna wierzba lub brzoza o wyglądzie anemiczno-suchotniczym urozmaicała smutny krajobraz wsi poleskiej.

Skręcili w lewo, objechali błoto i stanęli przed pierwszą chatą z brzegu, zbudowaną na bezdrzewnym podwórku, szarą, zaniedbaną, należącą do rodziny Myłyszyckich herbu Mądrostki.

— Hej, panie Polikarp! — zawołał leśniczy, zwijając ręce przy ustach w trąbkę. Z chaty wyszedł stary, przygarbiony człowiek w brązowej świtce, szarych płóciennych spodniach i łykowych postołach na nogach.

Przyłożył rękę do czoła, bo stał w pełnym słońcu i chwilę przyglądał się przyjezdnym.

— A to pan leśniczy Szołomicki — wypowiedział wolno, z trudem wymawiając polskie wyrazy. Ukłonił się bez uniżoności.

Szlachcicem był, herbu Mądrostki. Nadanie miał z r. 1536. Choć prawosławny, z dawniejszych połączeń katolików z unitami i schłopiały w życiu codziennym, dumę i honor miał szlachecki. Za żonę miał Kołb - Sielecką, herbu Kalinowa, ze wsi Kołbów. Jej dziad razem z jego w roku 1863 w dniach 12 i 13-go lipca pod dowództwem Traugutta bili się z Rosjanami i zostali wraz z resztą niedobitków pognani na Sybir. Wrócił tylko Antoni Szłomicki, po 15 latach katorgi, ślepy, schorzały, zniedołężniały. Tamci zostali na zawsze, pogrzebani w tajdzie.

— Dzień dobry, panie Polikarp. Gregory w domu?

— Nie, panoczku, na ostrowie siano kosi.

— A nie ma tam u was w chacie kogo, żeby moją Natalkę do Worsynia odwiózł? Trzeba jej się dostać do pałacu do Leśnego Dworu.

Podrapał się w głowę.

— Nie ma panie, wszyscy na ostrów wyszli, ale ot, u Wereniczów Antoszko został. Noga się u niego biednego czegoś rozbolała. On może panienku odwieźć!

Leśniczy podziękował kiwnięciem głowy i targnąwszy koniem pojechał do sąsiedniej chaty, tak samo stojącej w bezdrzewnym podwórku, tak samo krytej oczeretem.

— Antoszku, hej, Antoszku — krzyknął donośnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT GOFFIN

# KAROLINA
## CESARZOWA MEKSYKU
### EPOPEJA HABSBURGÓW

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
IRENA MACIEJEWSKA

### I.

Meksyk! Meksyk!

Wielka, barwna plama na mapach nowego świata! W prowincjach Chihuahua i Texas, włóczący się Apaczowie i Komanczowie skalpują jeszcze głowy swych ofiar; wędrowcy na preriach Rio Grande del Norte nie dopuszczają nawet jeszcze myśli o podboju amerykańskim.

Wir wzburzonych narodowości kłębi się i pieni, jak wody odmętu, pod naciskiem zwycięskich Hiszpanów, przesyconych bogactwem, ginących z nadmiaru dostatku i użycia. Hiszpanie, Kreole, Indianie krążą wokół siebie, krzyżują się, zderzają, i nieraz, gdy zmierzch pada na wspaniałe egzotyczne lasy, rewolwery idą w ruch.

Od początku XIX wieku nieustanne rewolucje kastowe! Zachwiana dynastia Karola V umiera arystokratycznie w starych dworach kastyliańskich, gdzie marzą smutni Indianie, podczas gdy hiszpańskie signority dosiadają pięknych wierzchowców, spoglądają smętnie na ośnieżone wierzchołki gór i biegną tęsknymi myślami ku ceremoniałowi dworu europejskiego!

Napoleon zwyciężony pod Waterloo, Europa kreśli nowe granice, rewolucja francuska ginie w czasie i przestrzeni. Sześć milionów Indian i Metysów w nędzy, w głuchym milczeniu kroczy drogami niewolnictwa. Kilku białych bogaci się w olbrzymich haciendach.

Wśród Hiszpanów, wydzierających sobie wzajemnie łup, ustawiczne kłótnie! Majestatyczni wicekrólowie, w bogato szamerowanych mundurach, przepływają Atlantyk, wzbogaceni kradzionymi milionami i pięknymi historiami miłosnymi, które przyprawiają o słodkie drżenie Europejczyków.

Płomienna i okrutna rewolucja w 1810 r. powoduje krótkie spięcia. Wybuchają gwałtowne ataki przeciw znienawidzonej, cudzoziemskiej przemocy. W ciemnościach tropikalnych nocy słychać okrzyki Metysów: „Śmierć kapucynom!" Kościół katolicki, obładowany złotem, zwolna się wali. Ksiądz Hidalgo ginie w bitwie pod Calderonem. Ostatni wicekrólowie uciekają w popłochu.

Cyklon szaleje nad zatoką meksykańską, porywa w szalony taniec narody i fortuny, miotając nimi wściekle wśród zamieszek i powstań. Meksyk zwycięża Indian, legendarnych łowców głów! Przestarzałej cywilizacji europejskiej groźnie się przeciwstawia żywioł tubylczy, ujarzmiany dotychczas przez najeźdźców.

Kolonia kipi, wrze, kłębi się jak ferment. Wreszcie w 1822 r. zrzuca cudzoziemskie jarzmo. Meksykański kongres, dumny ze zdobytych prerogatyw, mianuje Iturbida cesarzem, nadaje mu imię Augustyna I-go. Pierwsze cesarstwo amerykańskich autochtonów nie trwa jednak długo. Uzbrojone bandy, trudniące się w czasie pokoju rozbojem, pod wodzą generałów Vittoria i Guerrero zmuszają wkrótce Augustyna I-go do abdykacji. W dwa lata potem zostaje on rozstrzelany wśród okrzyków „Niech żyje Meksyk"!

Rok 1830! W Europie rewolucja! Trony się chwieją, arystokracja upada. W Meksyku toczą się straszliwe wojny domowe: imperialiści, republikanie, ugodowcy, federaliści, klerykali, liberali, biali, Indianie, generałowie, bandyci — powstają, giną, umierają, mordują się wzajemnie.

Płomienna, zmysłowością owiana ziemia indyjska! Z nastaniem zmroku pełne melancholii pieśni haftują ciszę nadchodzącej nocy. Indianie oczekują czegoś, co nigdy już nie nadejdzie. Przy drogach, poprzecinanych wąwozami i głębokimi rozpadlinami, wznoszą się olbrzymie krzyże, znacząc miejsca, gdzie w czasie ostatnich walk została przelana krew. Jakież to wszystko jest dalekie od Europy i chorobliwej wyobraźni jej stolic!

Tu panuje wszechwładnie ruina i nędza. Indianie umierają z głodu, Metysi podrzynają sobie gardła, biali drżą. Wybrzeża zatoki meksykańskiej, na których rozpościerały się malowniczymi tarasami wspaniałe ogrody o bujnej roślinności, są doszczętnie spustoszone przez kolonizację hiszpańską. Wulkan Orizaba, otoczony chmurami, dymi leniwie na horyzoncie. Miasteczka zieją pustkami. Wojny domowe i żółta febra wytrzebiają ostatnich mieszkańców. Wielkie bagna, otoczone krzakami orchidei, roją się od brzęczących moskitów, wyludniających wioski. Noce są zimne i wilgotne. Ale cóż to wszystko znaczy wobec idei wielkiego cesarstwa meksykańskiego, która się nagle wylęgła w umysłach ludzkich i nęka chorobliwe marzenia Europy wizją Ziemi Obiecanej. Rodzi się Nowe Eldorado, podniecając wyobraźnię wszystkich awanturników, wszystkich poszukiwaczy przygód i fortuny, śniących o Nowej Hiszpanii i o czarodziejskich ogrodach za Atlantykiem.

Meksyk, Meksyk! Zbyt dojrzały owoc, rozpadający się na części. Oto wojska Stanów Zjednoczonych na granicy Texasu. Generał Santa Anna broni zagrożonej prowincji, zostaje jednak pobity przez Amerykanów wśród malowniczego krajobrazu nad brzegami rzeki San Jacintho. Eskadra francuska pod dowództwem admirała Baudin zatrzymuje się na wodach zatoki przed Vera Cruz, w tym samym miejscu, w którym przybił do brzegu w r. 1520 zapalczywy Cortez. Wkrótce potem wybucha bunt generałów. Giełdziarze rujnują doszczętnie skarb państwa; zjawia się dyktator Santa Anna i po wielu przejściach, zmuszony jest w końcu, w r. 1845 oddać Texas Stanom Zjednoczonym.

Z tą chwilą prowincja północna jest już stracona. Między nowymi sąsiadami wybucha wojna. Wojska meksykańskie pod dowództwem Ampudia, następnie Paredesa i wreszcie Arista, cofają się zwolna ku Angosturze. Wkrótce są ostatecznie pokonane. W dniu 8 września 1847 r. generał Scott, który uprzednio przegrał bitwę pod „Królewskim Młynem", bierze odwet w Chapultepec, wspaniałej rezydencji wicekrólów, w której w dniu 12 września zawiesza sztandar amerykański.

W dniu 25 maja 1848, specjalnie zwołany kongres meksykański podpisuje w Queretaro traktat pokojowy, na mocy którego Nowy Meksyk oraz Nowa Kalifornia aż po wschodnie wybrzeże Rio del Norte zostają oderwane od państwa meksykańskiego.

Queretaro! Mała mieścina, zamieszkała przez cichych Metysów, pogrążonych w wiecznej drzemce w lepiankach bez okien! Na skraju widnokręgu szczyty górskie i okryte fioletowym cieniem lasy, zdające się wierzchołkami drzew sięgać niebios.

1848 rok! Meksyk spustoszony, bezkrwisty, spalony słońcem, obłupiony przez najeźdźców! Tygodniowe królestwo, nieustannie plądrowana republika, wielkie tęskne oczy nieruchomych, w niczym się nieorientujących, Indian.

1848! Nowe rewolucje w Europie. Nad brzegami Morza Północnego, w młodym państwie, zwanym Belgią, a rządzonym przez słynnego króla Leopolda I-go, przychodzi na świat mała królewna Karolina, Maria, Amelia, Augustyna, Wiktoria, Klementyna, Leopoldyna. Otrzymała siedem imion,

mających jej przypominać wielkość dynastyj, związek Koburgów z Orleanami. Armaty obwieszczają radosną nowinę, naród śpiewa „Te Deum".

1848! Wiedeń święci uroczyście wstąpienie na tron młodego króla Franciszka Józefa. Nowy cesarz Austro-Węgier złożył już przysięgę w Hofburgu, od czasu do czasu ukazuje się w Praterze. Gdy wieczorem powraca do pałacu Schoenbrunnskiego, myśli o Orlątku, który tam umarł w małym żelaznym łóżku, rzucając ostatnie spojrzenie na smutne niebo, zwisające ponad drzewami parku.

W jednym z pokoi pałacowych o wielkich fajansowych piecach, o ścianach zawieszonych portretami uśmiechających się arcyksiężniczek, urodził się w dniu 6 czerwca 1832 r. Ferdynand Maksymilian, brat cesarza.

Jakiż spokój panuje na dworach Europy, na których królewicze, arcyksiążęta, bladzi infanci, snują sen o dynastii, o władzy, o tronie, podczas gdy wierni poddani popijają wino w ogródkach Grinzingu, przy dźwiękach pierwszych walców, przyprawiających o słodkie drżenie serca.

W r. 1837 przyszła na świat w romantycznej Bawarii księżniczka Elżbieta, córka Maksymiliana Józefa. W chwili, gdy Franciszek Józef wstępuje na tron, Sisi, jego przyszła żona, ma jedenaście lat i przysłuchuje się z zaciekawieniem opowiadaniom o kuzynie Habsburgu, pięknym młodzieńcu o jasnych włosach, który rządzi narodami po drugiej stronie Tyrolu.

1848 rok! Okres wstrząsów i przewrotów! Ludwik I, król Bawarii, podpisał w dniu 12 października rozkaz banicji swej pięknej faworyty, Loli Montez. Biedny, zakochany król będzie jeszcze długo pamiętał jej pełne żaru oczy, dla których popełnił tyle szaleństw. W Monachium studenci otoczyli dom, w którym Lola Montez, ta która dzieliła łoże królewskie, u stóp której tarzał się monarcha, zmuszona była odejść!

Ludwik II liczy w tym czasie zaledwie trzy lata. Chłopiec o dziwnych oczach, przypominających oczy dziadka, spędza melancholijne dzieciństwo w Hohenschwangau, kraju legendarnych łabędzi, gdzie o zmroku błądzi cień Lohengrina. W przyszłości, gdy mały Ludwik stanie się królem Ludwikiem II, wypowie te znamienne słowa: „Przyjść na świat po to, aby zaprowadzać w nim ład, to przekleństwo".

1848 rok! We Francji, w dniu 20 grudnia, Ludwik Bonaparte przysięga „wobec Boga i narodu francuskiego być wiernym tradycji demokratycznej". Podnosi dłoń do przysięgi opuszczając oczy i być może już wtenczas myśli o cesarstwie i swej wszechwładzy, mimo iż mówi: „Będę uważał za wrogów ojczyzny tych wszystkich, którzy będą usiłowali nielegalnymi drogami zmienić formę rządu".

1848! Hrabianka Eugenia Maria de Montija de Guzman ukazuje się na wielkoświatowych przyjęciach w Paryżu, Londynie, Madrycie! Urodzona w dniu 5 maja 1826 r. szuka między wzbogaconymi magnatami kogoś, kto jej dopomoże do zdobycia jak najwyższych szczebli zaszczytów i godności, których łaknie jej egzaltowana wyobraźnia.

Europa! Europa! Rewolucja francuska jest już tylko przebrzmiałym echem, lecz błękitna krew dynastyj, osłabiona odwiecznymi, kazirodczymi związkami, drży jeszcze pod podmuchem huraganu, który dął z taką siłą na koronowane głowy.

Wieczorami w oświetlonych salach pałaców i rezydencji królewskich, arcyksiężniczki, krążąc przy dźwiękach muzyki w ramionach swych pretendentów, myślą o tym, iż jakiś zły podmuch wzburzył narody i wspominają z westchnieniem dobre czasy spokojnego panowania pomazańców bożych. Marzą jednak wciąż jeszcze o zachwianych tronach, by móc prezentować na nich swą królewską urodę, opromienioną blaskiem korony. A w ciepłe poranki wiosenne, galopując wśród rozkwitających drzew, zdają się pędzić w upojeniu ku swemu przeznaczeniu i śnią po nocach o wspaniałych kawalkadach w otoczeniu cesarzy, królów, zakochanych rycerzy, którzy wraz z miłością przyniosą im rozkosze panowania i nasycą żądzę władzy.

O Boże, Boże! miej litość nad arcyksiężniczkami, które w stolicach starego świata karmią swe młode serca takimi snami; miej litość nad tymi, których całym królestwem będzie zawsze tylko wyobraźnia, które upajają się marzeniami o raju dynastycznym, gdzie mogłyby wstąpić dzięki swej młodości, urodzie i wdziękom.

Królestwa Europy są już zbyt stare i zmurszałe. Rewolucje krwawym kwiatem ozdabiają wyblakłe barwy krajów europejskich.

O Boże, czy słyszysz ten głuchy pomruk zbuntowanych Węgrów wśród dźwięków czardasza nad brzegami Dunaju, czy słyszysz gniewne głosy Francuzów, w których burzą się dawne hasła równości, a Belgowie, a Polacy, a Czesi, których trzeba uśmierzać egzekucjami, a ci niesforni Niemcy, którzy marzą o miłości przy blasku księżyca?

O jakież dziwne czasy przeżywa stara Europa!

## II.

Ciepła wiosna 1867 roku roztacza swe czary nad Europą. Piękne lasy w Cambre, Fontainebleau, Karlberg i Górnej Bawarii nęcą swymi zacisznymi alejami zakochane pary o oczach pełnych szczęścia i nadziei. Mała Karolina zaprawia się zwolna do trudnego zawodu królewny. Patrzy na świat poprzez wskazówki Mgr. Dupanloup i Bossueta, jeździ konno i ukazuje się czasami na oficjalnych uroczystościach. Matka jej, królowa Ludwika, zmarła w Ostendzie w dniu 11 października 1850 roku.

Księżniczka Karolina liczy szesnaście lat w chwili, gdy dwóch pretendentów zgłasza się do jej ręki, są to Jerzy książę saski i król portugalski Pedro V. Hrabina d'Hulst jest przeciwna tym obu partiom, mimo iż królowa Anglii pragnęłaby ujrzeć Karolinę na tronie portugalskim, i pisząc w tej sprawie do hrabiny, wygłasza to prorocze zdanie: „Jestem przekonana, iż byłoby to większą gwarancją szczęścia Karoliny, niż poślubienie jej przez któregoś z tych niezliczonych arcyksiążąt".

Niestety, w maju 1856 roku zjawia się piękny, wysmukły młodzieniec o jasnym zaroście i pełnych czerwonych ustach. Młodziutka księżniczka myśli tylko już o nim i oddaje mu całkowicie miłość swego dziewczęcego serca.

Cóż znaczą trony portugalski lub saski! Cóż znaczą korony i królestwa! Miłość jest największą potęgą świata, krzyżującą plany dynastyczne, wstrząsająca krajami, pustosząca państwa!

Wszystkie myśli Karoliny biegną ku królewiczowi jej snów, ku arcyksięciu Ferdynandowi Maksymilianowi, bratu potężnego cesarza Franciszka Józefa, potomkowi Habsburgów, potomkowi Karola V-go, o którym mówiono, iż słońce nigdy nie zachodzi w jego państwie. Maksymilian, piękny Maksymilian, admirał, poeta, myśliciel, tancerz, jest ubóstwiany przez wszystkie dziewczęta Wiednia, które marzą o jego błękitnych oczach. Gdy arcyksiążę przejeżdża konno przez Prater, wysmukły i zgrabny w obcisłym mundurze, serca kobiet biją przyspieszonym rytmem. Mała hrabianka Linden, która na balu dworskim przetańczyła kilka walców w ramionach pięknego Maksymiliana, jest w nim zakochana do szaleństwa i śni o jego miłości, mogącej otworzyć przed nią wrota wielkiego świata.

Niestety, niestety, mała hrabianka po głośnym skandalu z bukietem, otrzymanym od Maksymiliana, musi się pocieszyć w ramionach jednego z ambasadorów, a piękny arcyksiążę udaje się w podróż do Azji Mniejszej, by stracić młodzieńcze upodobania do mezaliansów.

Arcyksiążę ma charakterystyczną twarz Habsburgów o wysuniętej dolnej szczęce, o niebieskich

Ciąg dalszy na str. 553.

# Kraina szczerości i naszych trosk

*Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu*

## Dobre rady p. Zofii

### PROŚBA MOJA

Nie proszę Cię wcale, mój Boże, o natchnienie
czy o wielki poemat
Pozwól tylko, by w małym pokoju było to,
czego nigdy tam nie ma.
Spraw, by złote, drżące plamy słoneczne na
podłodze, tańczyły na ścianie
I niech róże wyblakłe i sztuczne, nie tkwią
tępo i martwo w dywanie.

Niech za szybą można ujrzeć o świcie szafirowy,
przejrzysty słup nieba
I naprawdę to już by wszystko. Nic innego
właściwie nie trzeba.

Żeby jeszcze naprzeciw nie było tej obmierzłej,
szarorudej fasady
Z gankiem, rynną — i oknem zamkniętym, na
które nie ma już rady.

I nie proszę Cię, Boże, o szczęście, o podróże,
o miłość, o życie,
Uczyń tylko, by promień słoneczny był na
rudym, splamionym suficie.

I nie proszę o Twoją opiekę i nie proszę
wcale, Boże, Twej łaski,
Zrób tak tylko, by nad biurkiem znudzonym
były barwne kolorowe obrazki.

Żeby meble nie były tak sztywne, by nie było
tak smutno i ciasno
I by wiatr, wiatr pachnący i świeży chwiał
firanką powłóczystą i jasną.

Daj mi tomik z prześlicznymi wierszami, albo
książkę z bajkami dla dzieci,
A na stole, w kryształowym flakonie fiołków
mokry, niebieski bukiecik.

*A. E.*

### CZY DUŻO ZMIENIŁO SIĘ U CIEBIE?

*„Jadzia“*. Och, kochana Ty Moja, tak bardzo Cię lubię i chętnie rozmawiam z Tobą, a mimo to musiałaś odczekać swej kolejki — obawiam się, że przez ten czas dużo zmieniło się u Ciebie. Czy tak? Wolałabym, abyś raczej miała tę pracę przez wszystkie obecne miesiące, co przecież nie jest niewykonalne. Życzę Ci z głębi życzliwego serca, abyś otrzymała wreszcie stałe engagement w swoim miasteczku.

Aha! A jak tam z kolekcją Twoich kaktusików, czy dużo Ci przybyło i czy rzeczywiście zakwitł ten, który tak troskliwie pielęgnowałaś, bo miał siedem pączków?

A w ogóle, to napisz mi kilometrowy list, bo stęskniłam się już za twoim słodkim szczebiotem.

Całuję Cię i w Twoim imieniu oznajmiam „Krainiakom“, że ślesz im moc uścisków z uwzględnieniem specjalnych dla „Wisi“.

### MASZ ZADOŚĆUCZYNIENIE

*„Wędrowna Chmurka“*. Pięknie to z Twej strony, że tak gorliwie pracujesz na polu społecznym — zadośćuczynienia masz natychmiastowe, bo zapomnienie o własnych smutkach i zmartwieniach, a to nie jest rzeczą mało ważną!

Nie chce mi się wierzyć, aby „Krainiacy“ mogli stronić od Ciebie, skądże! Jeżeli, to po prostu leniuchują trochę w okresie letnim, lwią część czasu zużywając na wycieczki i plażowanie. Niewątpliwie zmieni się to po jakimś czasie.

Nie przejmuj się proszę i staraj się zatracić smutek na korzyść promiennej radości i zadowolenia z życia i swej wartościowej pracy. Zadowolona będę niesłychanie, gdy nie będziesz umiała już wygłaszać tak ciężkich od goryczy zdań, jak to poniższe:

„Obecnie dopiero dowiaduję się, że „Biała Różyczka“ pragnie ze mną nawiązać korespondencję. Bardzo mnie to ucieszyło — lecz i smuci. Nie umiem się jeszcze przemóc i nie nadaję się na towarzyszkę dla ludzi wesołych. O ile „Biała Różyczka“ pomimo tego nadal pragnęłaby ze mną korespondować — w co wątpię — to proszę do mnie napisać. Smutni nie są mile widziani. To wiem od dawna.

Pozdrawiam serdecznie wszystkich!“

### POKOCHAŁAM WAS!

*„Zofia z Gr.“* Tak, ciekawość Twoja, Kochanie, może w łatwy sposób zostać zaspokojona, bo przez udział w zjeździe „Krainiaków“. Bardzo bym była rada, gdybyście z Bratem zdecydowali się na ten przyjazd.

Mogę zamieścić Twoją fotografię — to ładnie!

Sądzę, że używacie znowu lata, ile dusza zapragnie, a czasu starczy. I kajak i rowery i aparat fotograficzny zapewne są w stałym użytku? Używajcie wolności, Smyki kochane, bo potem będzie mniej okazji!

Niekoniecznie miał rację Szanowny Tatuś Pani, bo jakkolwiek rzeczywiście mamy w redakcji sporo pracy, to jednak listy „Krainiaków“ są w nią wliczone i nie sprawiacie mi, pisząc często, specjalnej subiekcji, bo ja po prostu przyzwyczaiłam się do nich, pokochałam Was i przykro mi, gdy przez dłuższy czas nie mam wiadomości, od takiej to „Jadzi“, czy innej „Wańdzi“, „Stokrotki“ ect.! Teraz n. p. jestem szczerze zadowolona, że odezwał się po moim apelu „Fleur“, o którym wiem, że nie jest bardzo zdrowy i przez to niepokoję się, gdy przez dłuższy czas nie daje znaku o sobie!

Tak już wrosłam w naszą „Rodzinkę“, tak się z nią zżyłam, że czuję się po prostu integralną jej cząstką i nie mogę żyć bez niej.

Całuję Cię serdecznie i czekam na szybką odpowiedź. A teraz komunikaty:

„Czarnulko z Grudziądza“ — może my się znamy? Skreśl do mnie parę słów.

„Czarnulko ze Świecia“, „Samotna Duszo“, „Boluś“ — przesyłam Wam serdeczne pozdrowienia i zapytuję czy która z Pań nie chciałaby ze mną korespondować??

„Jaś - Sokół“. Czemu nie otrzymuję odpowiedzi?

Moc pozdrowień dla „Morowego Chłopca“, „Heńka“, „Zrównoważonego Jasia“, „Ny - Czara“ i wszystkich „Krainianek“ i „Krainiaków“ zasyłam z Grudziądza“.

### IDĘ...

Idę ulicą ciemną —
Wokoło słota i deszcz...
A nerwy dziwnie przejmuje
Zimny i przykry dreszcz.
Nagie i mokre drzewa,
A wkoło szarość i mgła.
Idę w dal smętną, idę
I tak już będę szła...
Marzy mi się pokoik,
Szczęście — miłości dar.
Krąg światła kreśli abażur,
Słodki unosi się czar.
Miga mi cień sylwetek
Ludzkich — jak drżący liść...
Ale to czyjeś — nie moje...
Ja muszę wciąż iść... i iść...
Skargę bezgłośną szlocham —
Sen mój o szczęściu znikł.
Zresztą mnie nikt nie kochał
I kochać nie będzie nikt.

*Maria Szczęsnowiczowa.*

### WYRAŻAM ZADOWOLENIE Z POZNANIA PANI

*„Dafne“*. Mam w tej chwili przed sobą kartę, na której zapowiada Pani swoją wizytę, a teraz jest już po fakcie. Była Pani u mnie, pogawędziłyśmy sobie trochę i wyjechałaś, zabierając z sobą wrażenie takie lub inne.

A teraz nie piszesz. Przypuszczam, że wpadła znów Pani w wir pracy, którą lubisz i która, jak mi mówiłaś, odpowiada Ci całkowicie. Pasjami lubię przyjmować od ludzi zapewnienie ich zadowolenia z własnej pracy. Może dlatego, że wiem, iż tylko ta praca jest dobrze wykonywana, która odpowiada wykonawcy. A przecież nie zawsze mogą (wykonawcy) stwierdzić z przyjemnością lub nawet z radością, że mają taką pracę, o której marzyli i której pragną naprawdę. Bo są i tacy, którzy nie lubią pracy w ogóle, jaka by ona wreszcie nie była, ale o tych tu nie mówię, i mówić nie chcę. Próżniacy nie mogą liczyć na moją sympatię — to trudno!

Natomiast Pani ujęła mnie nie tylko zainteresowaniem dla swej pracy, ale całą sobą i na tym miejscu wyrażam zadowolenie z poznania jej osobiście. Proszę przy najbliższej nadarzającej się okazji znowu odwiedzić mnie w redakcji.

Pozdrawiam serdecznie!

„Halo! Kto z entuzjastów jazdy rowerowej, ma ochotę pojechać ze mną na wycieczkę? Proszę napisać!

„Te - Emie“, „Wirrycie“, „Erosie“ — byłoby mi bardzo miło otrzymać od Was kilka słów. Bardzo proszę, napiszcie!

Która sympatyczna bydgoszczanka, może poświęcić mi trochę czasu, na spacery i pogawędki w okresie mego pobytu w Bydgoszczy?“

### LEGENDA TATR...

— Hej, góry wy moje, góry...
przesłonięte mgłami — —
rozśpiewane tęsknotą,
ocienione limbami...

Szczyty wasze słoneczne,
niebem wokół skąpane,
hej, góry wy moje, góry...
sercem Tatr pokochane...

Noce pełne są ciszy,
śpiewnej ciszy głębokiej —
żal zwisł limbą samotną
ponad Morskim Okiem...

Wiatr gra na gęśliczkach
i dziwuje się gazdom...
Mrok rozkwita w smreczynach,
w spadających gwiazdach...

Któż waszą samotność pojmie,
— — któż zrozumie —
kto — jak ja was pokochał
w swej śpiewnej zadumie? —

Wiatr się wspina po waszych
niebotycznych skałach,
nad turniami zawisła
mgła w obłokach białych...

— Hej, góry wy moje, góry...
jakże tęsknię za wami,
wiatr do snu moje serce
kołysze limbami...

— — — — — — —

— Hej, coś się jeszcze odstanie —
— Hej, coś to jeszcze będzie;
... kiej Janosik powróci
w tatrzańskiej legendzie — — —

Żal się włóczy po turniach,
mrok rozkwita giazdami...
— Hej, wiatr do snu kołysze
serce Tatr... —
pod limbami...

*Józef Baranowski.*

### MAM NADZIEJĘ...

*„Maleńka Liany“*. Nie mieszkasz już na wsi, Dziecino — dlaczego? Mam nadzieję, że się szybko przyzwyczaisz do nowych warunków i będzie Ci w mieście również dobrze.

Pragnę, abyś już w najbliższym czasie zabiła w sobie niewiarę w możliwość uzyskania własnego szczęścia.

Nie, ja cię nie opuszczę i zawsze będę Ci życzliwa, jak dziś. Bardzo serdecznie dziękuję Ci za te kochane kwiatki z Twego ogródka. Rzeczywiście sprawiły mi dużą radość. Całuję Cię i niecierpliwie oczekuję następnego listu.

*„Przedwiośnie"*. Dziewczynko kochana, dziękuję za pozdrowienie, które w pełni odwzajemniam. Życzę Ci dużo szczęścia!

P. Adam Czekalski. Śliczne są Pana wierszyki. Zasyłam Panu moc dobrych słów.

Pozdrowienia dla wszystkich „Krainiaków".

## HEJ, CYGANIE!...

Hej, skrzypku, czardasza, czardasza mi graj,
Chcę przeżyć raz jeszcze dawny szczęścia raj,
Chcę płakać i śmiać się i tańczyć dziś znów,
Może usłyszę szept twych gorących słów.

Kochana, jak ty, jest ta gwiezdna noc,
Bo w niej się mieści miłości mej moc,
Za twoje zdrowie piję wino,
Kocham cię, kocham, ma dziewczyno!

Niech płynie umarłej miłości pieśń,
Niech z serca mi zedrze szarą życia pleśń,
W pucharach pieni się szampan, boski płyn,
Cygan szaleje — chcę szaleć razem z nim.

Znów wraca cudna bajka sprzed lat
I znów wydaje się pięknym świat,
Oczy palące, krew w żyłach gra.
Wyznaniem miłosnym serce drga.

Hej, dajcie mi wina, niech zginie mój żal,
Chcę żyć dzisiaj szczęściem, co poszło hen
w dal,
Niech czardasz przypomni mi ciebie w tę noc,
Więc żywo, cyganie, zagraj mi pieśni moc!...

*„Blanka"*.

## SŁÓWKO DLA GRAFOMANÓW OD „KRAINIANKI"

*„Sława"*. Cieszy mnie niewymownie, że udało mi się sprawić, Ci przyjemność ostatnim listem. Tak ładnie mnie o tym zapewniasz, że wierzę Twoim słowom i jestem zadowolona.

Więc zapewne nie podtrzymałaś kontaktu korespondencyjnego z tym wierszomanem, co? Z wierszyków, które przytoczyłaś widzę, że znasz i kochasz poezję i dlatego denerwują Cię grafomańskie zapędy poniektórych „Krainiaków" i nie dziwię się zbytnio ostrej krytyce, jakiej dałaś wyraz w apostrofie do członków „Rodzinki"?

„Współczuję Wujkowi Januszowi, który musi czytać dziesiątki wierszy o podobnych rymach, jak:

„powieść sieje,
a wiersze leje..." —

Naprawdę, z jednej strony podziwiam cierpliwość Wujka, a z drugiej tę cywilną odwagę „Krainiaków". Czyż rzeczywiście zatraciliśmy trzeźwy krytycyzm, Kochani! Jeśli go mamy w stosunku do innych, miejmy go w pierwszym rzędzie do siebie samych i chciejmy raz zrozumieć, że nie każdy ma dane, by być poetą. Bo rymy częstochowskie — moim zdaniem — absolutnie nie są poezją. Czy nie tak, Wujaszku? Ogrodnictwa, krawiecczyzny można się wyuczyć, ale pisania wierszy?"

Słowem, zbeształaś entuzjastów tworzenia wierszy za Wujka Janusza, który zresztą jest anielsko dobry i pobłażliwy dla swoich pupilów.

Co u Ciebie nowego, kochana Moja? Napisz mi dużo, dużo, a na razie bywaj zdrowa!

## WRESZCIE!...

*„Fleur"*. No, wreszcie się Pan odezwał — a ja tyle razy zwracałam się z zapytaniem, dlaczego milczysz i bałam się, że przytrafiło Ci się coś złego. Chwała Bogu, chwała Bogu, że wszystko w porządku.

List Pana wysłałam naturalnie. I odpowiedź daję niniejszym. Komunikaty poniżej.

A teraz pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i czekam na następną wiadomość!

„Ślę serdeczne podziękowanie „Gwiazdeczce" za uśmiech, który odwzajemniam, zamykając w nim dużo życzliwości.

Również wiele dobrych życzeń „Złotemu Słoneczku z Pomorza" oraz tym, którzy o mnie pamiętali w „Krainie".

## PROSI IRKĘ O PRZYJAŹŃ

*„Aneczka"* dziękuje nam za przyjęcie jej do naszego grona, obiecuje pisać częste listy oraz pragnie zaprzyjaźnić się ze „Smutną i brzydką Irką", ponieważ szczerze ją polubiła z listów, drukowanych w „Krainie". Prosi więc „Irkę", aby do niej napisała — odpowiedź murowana. Na razie przesyła jej serdeczne pozdrowienia.

Pozdrowienia przesyła również całej „Krainie".

## PAMIĘTAJ O PODPISYWANIU SIĘ PSEUDONIMEM!

*„Jotka z dworku za wsią"*. Zadowolona jestem, iż czujesz się dobrze w naszym gronie i myślę, że zawsze będziesz zadowolona ze swej nowej „Rodziny". Czy uważasz podobnie?

Proszę Cię, abyś w liście pisanym do mnie nie zapominała podawać swego pseudonimu.

Za pozdrowienia dziękuję w swoim i Wujka Janusza imieniu i wzajemnie przesyłam nasze serdeczności!

## WYELIMINUJ NUDĘ ZE SWEGO ŻYCIA!

*„Smutna Iwonka"*. Powiedz mi, Dziecino, czy zmieniło się coś w Twoim życiu i czy nie masz już powodu do narzekania na monotonię dni codziennych, w których nic ciekawego i niezwykłego się nie dzieje?

Cieszy mnie, że znalazłaś zadowolenie w korespondencji z „Rodzinką". Jest to dla mnie zawsze i niezmiennie miła wiadomość.

Życzę Ci dużo radości, a przede wszystkim wyeliminowania nudy z życia.

„Halo, halo!! „Czarny Hajduczku", „Słodka Dary", „Dumko", „Czarnooka blondynko II" — przyjmijcie szczere uściski i gorącą prośbę o liściki!

„Hel". Ja również pracuję w biurze, może napiszesz do mnie?!

Dużo miłych pozdrowień zasyłam „Dance z Pomorza", „Urszulce spod Grudziądza", „Dzince", „Smutnej i brzydkiej Irce" — napiszcie do mnie kochane dziewczynki!

„Przybłędo Leśny" — czuję do Pana sympatię. Czy mogę spodziewać się liściku?

„Mrówko Leśna", „Anetko III", „Starsza Panno" — pragnę z Wami korespondować.

„Puer", „Heniek" i „Marzący Roman N." zasyłam szczery uścisk dłoni i prośbę o liściki.

Dla całej „Krainy" promienny uśmiech i cicho życzenie, aby pamiętała o mnie".

## PIĘKNIE JEST JEDNAK NA ŚWIECIE

Chwilami mi się wydaje,
Że kroku już nie posunę,
Że oto jest brzeg przepaści —
Ręce wyciągnę i runę.

Jestem tak strasznie zmęczona,
Tak nic mnie przecież nie czeka,
Serce przystaje, przycicha,
A dusza, jak dym ucieka.

Mogłabym legnąć na drodze,
Jak papier zetlały na wietrze.
Może przejedzie wóz z sianem
I w proch i ziemię mnie wetrze.

Tak ciężko podźwignąć nogi
W drogę zbyteczną przecie...
— — — — — — —
Jak pachną lipy nagrzane...
Pięknie jest jednak na świecie.

M. T.

## BĘDZIE PAN PRZEWODNICZĄCYM ZJAZDU

*„Samotny — Chorzów I"*. Podoba mi się wprawdzie program podany przez Pana, dotyczący zjazdu „Krainiaków" w Żninie, lecz z drugiej strony nie da się wszystko tak przeprowadzić, jak to Pan sobie wyobraża. Przyczyn nie będę tu wyłuszczała.

Jeżeli chodzi o dzień naznaczony przez Pana, to nie jest on w programie, bo zgodziliśmy się większością na dni, w czasie których odbywają się Targi Pałuckie. Dokładna data jeszcze nieustalona.

Specjalnego programu też nie opracujemy, bo zjazd ten będzie większą wycieczką Sympatyków „Krainy", nieskrępowaną żadnym regulaminem. „Krainiacy" będą mogli zjeżdżać się przez cały dzień, jak komu będzie dogodniej i stosownie do środków lokomocji, którymi się posłużą. Pana mianuję niniejszym przewodniczącym zjazdowiczów.

Adres, o który Pan prosił, podałam w ostatniej odpowiedzi dla Niego.

Dołączone kartki przesłałam z wyjątkiem dwóch, których adresu jeszcze nie posiadam. Na pytanie, czy mogłam je wysłać, odpowiadam, że mogłabym i rzeczywiście wysłałam, lecz wolałabym, aby wysyłał Pan swoją korespondencję raczej w listach.

Niestety, zlot Sokołów we Lwowie rzeczywiście został odroczony i rozumiem Pana zawód!

To byłyby na razie sprawy wyczerpane. W najbliższym czasie zostanie ustalona data zjazdu i pobieżny szkic programu.

Pozdrawiam Pana i przechodzę do komunikatów:

„Jasiu - Sokole", „Urszulko spod Grudziądza", „Fotoamatorze", „Rudi", „Wenus", „Wicho", „Starsza Panno" — napiszcie do mnie w sprawie zjazdu, to był mój projekt, który dojrzewa od 20 stycznia b. r.

„Jasiu - Sokole"! Ślę Wam pozdrowienie „Czołem". Kto wie, czy nie poznałem Was gdzie na zlocie! Jestem druhem od 40 lat — z Przemyśla, Krakowa i Lwowa.

„Wymarzona" — list wyślę w niedługim czasie. Na razie ślę pozdrowienia.

„Li - Sokolica" — jestem starym druhem, włóczę się po zlotach, a tu nagle zlot we Lwowie odwołano!"

## PRZESŁAĆ WYJAŚNIENIE DLA ADMINISTRACJI

*„Taki Jeden"*. Mam tu dwa Pana listy, Miły chłopcze. Postaram się odpowiedzieć na wszystkie poruszone tematy. Więc ad rem!

Objaśniłam administrację w kwestii przekazów rozrachunkowych. Ma Pan opłaconą prenumeratę „Moich Powieści" do lipca włącznie i 20 gr na sierpień. Prenumeratę I. K. P. do lipca włącznie i 50 gr na sierpień.

Jeżeli chodzi o I. K. P., to ja nie wydawałam zlecenia wysyłania Panu tej gazety, nie rozumiem wobec tego tej sprawy. Może tu zaszło jakieś nieporozumienie?

Ta druga osoba miała opłaconą prenumeratę „Moich Powieści" do lutego włącznie, a od 31 maja cofnęła zlecenie wysyłki dalszych numerów.

Jeżeli zaszła pomyłka, proszę jak najszybciej przesłać dokładne wyjaśnienie i dyrektywy do administracji naszego pisma. I na przyszłość wskazane by było dokładne zaznaczanie, na co wpłacana jest wysyłana kwota. Tak będzie najlepiej!

Pięknie, bardzo będę Panu rada, gdy wkroczysz do mojej redakcji na czele zjazdowiczów krainiackich!

Nie ma obawy, wiem, że nie pokaże się to po Tobie, abyś nie umiał spojrzeć mi w oczy i, co ważniejsza, pogwarzyć sobie ze mną swobodnie.

Żonę poetkę? Oj, tak mi się zdaje, że poetki powychodziły za mąż — pozostały tylko „ofiary" operujące jedynie prozą, literacką wprawdzie, ale tylko prozą!...

Nie szkodzi, że list ten nadszedł do mnie z marginesami lekko opalonymi — ubawiłam się z jego racji setnie!

Więc jeden załatwiony. Teraz drugi!

Oj, przepraszam, jest jeszcze pocziówka, ale ona coś mi zanadto melancholijna — dlaczego?

Non! Przyjacielu — mowy nie ma ani o „kobiecych", ani o urazach w ogóle! Jest na-

tomiast mowa o przyjemności w rozmowie z Panem.

Ano... widzę, że ostatnio poinformowałeś się wcale dokładnie. Proszę, proszę... Zdziwiłam się nieco, ale znowu nie za mocno.

Dobrze odpowiedział Pan, nie mam żadnych pod tym względem zastrzeżeń.

Pozdrowienia od tej Pani przekazałam i mam wyrazić wzajemne z prośbą o list.

A teraz posyłam Panu serdeczny uśmiech i w Jego imieniu odwzajemniam „Królowej Gizelli", że odwzajemniasz się jej krainiacką sympatią.

## TY I NATCHNIENIE

Czasem mi w życiu coś szepce do ucha:
„Weź pióro, sięgnij myślą w przeszłość swoją"
I mimo woli więc tego „coś" słucham,
Mając na myśli wdzięczną postać twoją...

Wtedy do głowy cisną się tematy,
Które od dawna kryło zapomnienie
I znów powstają wiersze — poematy,
Bo ty — to moje najdroższe natchnienie...

Temat mi dają twoje usta krwiste
I twoje oczy, co patrząc — migocą
I twoje włosy jasno-blond, faliste,
Które w wiosennym słońcu wciąż się złocą.

Choć żyć jest ciężko, dusza się raduje,
A serce nie zna, co ból i cierpienie...
Wierz, dzięki tobie wiersze swe pisuję,
Bo ty — to moje najdroższe natchnienie...

*Mieczysław Grzegorski.*

## POWIEDZ!...

*„Eros"*. Wzruszyłeś swoją „Ciotunię" ostatnim listem, Chłopcze Drogi! Jest Ci zań ogromnie wdzięczna. Bodaj to mieć takiego złotego „Siostrzeńca"!

A już się niepokoiłam i w codziennej korespondencji niecierpliwie wypatrywałam Twojego pisma. I wreszcie przyszedł ten arkusz, zapisany jak zwykle drobnym maczkiem, i jak zwykle omawiający szereg spraw.

Naturalnie, kochany mój Siostrzeńcze, że dobrze rozumujesz w rozmowie ze mną, tym razem nawet tak dobrze, że nie kwestionuję ani jednej myśli!

Ciekawam, czy zadowolony jesteś z zorganizowanego przez siebie klubu sportu wodnego — wierzę Ci, że miałeś z tym wiele pracy i zachodu.

Sprawę administracyjną załatwiłam.

List skierowałam pod właściwy adres.

Dziękuję Ci również bardzo serdecznie za nadsyłany materiał do „Chwili zastanowienia" — posługuję się nim stopniowo, w miarę zapotrzebowania. A propos — bardzo byłabym zadowolona, gdybyś te zadania przesyłał wypisane tylko po jednej stronie papieru, tak, jak przesyła się skrypty nowel, czy powieści:

Powiedz mi, czy weźmiesz udział w naszym zjeździe? Chciałabym, aby tak było!

Aha! Mam nadzieję, że będziesz teraz jeszcze więcej zadowolony z naszego tygodnika, po zmianach, jakie wprowadzamy.

A teraz posyłam Ci moc serdeczności i oznajmiam „Krainiakom", że pozdrawiasz ich serdecznie!

## WYRABIAJ W SOBIE RÓWNOWAGĘ UCZUĆ

*„Kochane Oczęta"*. Nieskończenie słuszne było Twoje porównanie, Dziecino, ale nie biorę Ci tego na minus, bo wiem, że masz duszę artystki, a to tłumaczy wiele. Jednakże nie trzeba być zbyt skrajną entuzjastką, Maleńka, bo to pociąga za sobą napady skrajnego pesymizmu, które zresztą u Ciebie bardzo często występują.

Powinnaś starać się wyrabiać w sobie równowagę uczuć. To jest nader ważne w życiu, które wszak, jak to sama poznałaś, nie jest łatwe i lubi rzucać ostre kamienie pod nogi..

Nie pisz mi, Dziecino, o śmierci — długo będziesz żyła wbrew swoim kaprysom i chwilowym depresjom moralnym.

I z tym nie zgadzam się jakoby świat nie żądał serca, a tylko zimnej krwi i obojętności. Świat żąda od ludzi wiele, a serce nie stoi w tych żądaniach na ostatnim miejscu — wiem to na pewno i możesz mi uwierzyć!

Ostatnio nie przysyłasz mi nowel do oceny — dlaczego?

A właściwie, to gdzie teraz mieszkasz, bo zdaje się, że firma, w której pracujesz zamyka swoje podwoje — niech się tak szumnie wyrażę — na okres letni.

Tak, Kochanie, niskie to było ze strony tej osoby i niebardzo godne człowieka, ale niestety zbyt często postępują tak ludzie, którzy chętnie mienią się być kulturalnymi.

Dobrze czynisz, że nie pozwalasz się „przerobić" w tym kierunku — kiedyś wynagrodzi Ci się to rzetelnie. Bo dobro, zarówno jak zło bierze z czasem nieuchronną zapłatę.

Nie znam tej Pani, o którą pytasz i nie mam jej adresu. A jeżeli chodzi o Twój artykuł, to możesz go z powodzeniem posłać do pisma, które tamtego nie drukowało. Tak już bywa, że nie ma nic nowego pod słońcem.

Pozdrawiam Cię i posyłam ciepły uśmiech!

## ŻYCZĘ CI DOBRZE!

*„Mogilnianka"*. Więc powiedz mi, czy teraz już możesz mnie spokojnie zapewnić, że znalazłaś zadowolenie z kontaktu z „Rodzinką"? Życzyłabym sobie tego bardzo!

Mądrze czynisz, że z moich listów do wszystkich „Krainiaków" wybierasz różne myśli i rady dla siebie, mogę Ci zdradzić, że ja również tak czynię w życiu. N. p. z rozmowy z jakimś mądrym człowiekiem staram się wyciągnąć maximum korzyści dla swego intelektu i jeżeli warto, dla ducha. A wszystko, co uważam za rozumne w naturze i ludziach przyswajam sobie bardzo chętnie i uznaję wartość tego.

Staraj się zawsze chwytać zewsząd wartościowe czynniki, a na pewno indywidualność Twoja nic na tym nie straci, zaś umysł wzbogaci się znacznie.

Na razie kończę i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Smutnej Kazieńce" ślę moc uśmiechów — może napiszesz, kochanie?

„Biała Uajali", ponawiam prośbę i pozdrawiam!

„Eł - Ka". Za wszystkie, przesłane hurtem pozdrowienia, dziękuję — ale pomylił się kolega na mej osobie. — Ja nie jestem tą, za którą mnie bierzesz — domyślam się o kim myślałeś. Kiedy będziesz w M.? Czołem!

A „Taki Jeden" nie chce, czy nie może zdobyć się na skreślenie listu? A może „Dyktator" by to uczynił, zdaje mi się, że przekonania i zdania mamy jedne — więc może korespondencja przyniosłaby zadowolenie. Ponadto przesyłam pozdrowienia „Przyćmionej Gwiazdeczce", „Samotnej Oleńce", „Brzydkiej Lei", „Reni z Kujaw", „Smutnej Ślązaczce" i „Bolusi", którą zdaje się znam.

Dla całej „Krainy" moc uśmiechów i dobych życzeń!"

## CZY POZWOLISZ?

*„Wesoły Broneczek"*. Oj, mam nieprzyjemne uczucie, że Pan znowu jesteś mocno rozżalony na mnie za to, że nie mogłam wcześniej zamieścić Twoich komunikatów — czy jest tak w istocie? Wierz mi, iż było by mi to wysoce przykre i zmartwiło by mnie szczerze. Zresztą nie powinieneś się gniewać w myśl danej obietnicy, że gotów jesteś czekać bodaj do października.

Cieszę się, że tak trafnie odgadłam Pana osobę na tych przysłanych mi fotografiach.

Rzeczywiście parady był ten komunikat po czasie, ale teraz już się te rzeczy uregulują dzięki rozszerzeniu „Krainki".

Proszę mi powiedzieć, czy zdał Pan ten egzamin, o którym wspominałeś?

Zdjęcie Pana bardzo ładne, chętnie dałabym je do „Krainki", oczywiście gdyby Pan pozwolił. Czekam zatem, na decyzję i ślę przyjacielski uścisk dłoni!

„Dzikuska" — co do zdjęcia, nie przesadziłem, to nie komplement, jedynie szczery zachwyt, stwierdzam to po raz drugi.

„Samotnej Włościance" — tą drogą zasyłam milutkie pozdrowienia.

„Kitty" — dlaczego nie daje Pani odpowiedzi?

„Skowronek" i „Dafne" — proszę pisać, czekam odpowiedzi!

„Rozśpiewanej Izabelli", „Ar'i", „Śnieżycy", „Wesołej Ślązaczce", „Orlicy", „Przedwiośniu", „Czarnulce ze Świecia", „Białej Uajali", „Zaczarowanej Cyganeczce", „Śnieżce z Pomorza", „Marylce", „Echu Wsi", „Smutnej Eli" i „Bajce" — zasyłam milutkie pozdrowienia z Grudziądza i proszę o liściki. Odpowiedź murowana!

„Smutna Czarnulka" i „Bursztynowe Serduszko" — okażcie Wasze dobre serduszka i piszcie do mnie wesołe liściki — odwzajemnienie przyrzekam!"

## W ODWZAJEMNIENIU

*„Dziewczę z Ludu"*. No, no — nie psuj mnie tak pochlebstwami, Mała Dziewczynko! Nie jestem znowu żadnym cudem, a tylko zwykłym człowiekiem z krwi i kości z masą wad i naleciałości. A że uda mi się raz i drugi podźwignąć kogoś moralnie, to i cieszę się z tego i Bogu dziękuję.

W odwzajemnieniu Twoich pozdrowień przesyłam Ci miły uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Halo, „Dyktatorze"! Czy mieszka Pan w miasteczku, gdzie czosnek żydowski psuje Panu zapach fiołków leśnych?

Proszę otrząsnąć się z pyłów Palestyny, a uwierzyć, że „Kraina", to prawdziwy zbiornik czerwonej, polskiej krwi.

„Smutny Lutek". Zdaje mi się, iż się znamy. Proszę sobie przypomnieć „Zacisze".

„Młody Marynarz z Żaglowca". Czy myśli Pan również o „Krainie", gdy prujesz modre fale wielkich wód?

„Polna Różyczka", „Zuch - dziewczyna", „Bursztynowe Serduszko" — może która z Was napisze do mnie. Przyjmijcie serdeczności!

Dla całej „Rodzinki" słodki uśmiech!"

## DZIĘKUJĘ!

*„Zawiedziona", „Arita" i „Laila"*. No, co mi powiecie nowego o sobie, Wy trzy kochane Maleństwa? Może któraś z Was spędza właśnie urlop gdzieś nad morzem lub w górach a może wszystkie trzy? Bardzo bym to chciała wiedzieć!

Serdecznie dziękuję Wam za miłe słowa pod moim adresem oraz te leśne kwiatki i odwzajemniam się dobrymi życzeniami.

„Halo, „Aloha"! Tu „Arita" — od dwu prawie lat bawię się w detektywa i nie udawało mi się odkryć Twego incognita, ale teraz już wiem, ktoś Ty. Pamiętasz Grupę — nasze zbiórki przy dźwiękach gitary i mandolin?

Pozdrowienia dla Rodziców, Wandeczki, a Ciebie ściskam, życzę polepszenia i... proszę o list!

Wy zaś „Krainiacy" napiszcie, proszę, do Waszej „Arity" — odpowiedź murowana!"

„Tu „Zawiedziona"! „S. 13" — Zainteresowałam się Panem, może napiszesz pierwszy?! Łączę pozdrowienia i czekam!

„Boluś" — polubiłam Cię. Może skomunikujemy się, a na razie przyjmij moc uścisków!

„Zawiedziony" — czyż tak bardzo przestraszyłeś się, że aż nie dajesz znaku życia o sobie?!...

Wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" milutkie pa!"

## CO ROBISZ?

*„Zuch — dziewczyna"*. Co robisz, Kochanie, pod te czasy? Sądzę, że wszystko w porządku u Ciebie i że nie masz specjalnych zmartwień.

Teraz wakacje, to Twoi Braciszkowie urozmaicają Ci zapewne te czynne, Twoje własne, codzienne dni. Życzę Ci dużo radości i niecierpliwie czekam na słówko!

*„Eros"*. Proszę na drugi raz uważniej pisać „miłe" epitety, gdyż ostatnie — niestety, mnie nie mogły tyczyć, bo ani nie odbierałam, ani nie odpisywałam i nic nie wiem. Obawiam się, żo pomyliłeś mnie „Erosie" z... M—Rysia — a to zupełnie inna osoba!

„Bajka", „Przedwiośnie", „Kaja", „Maruta" — moc pozdrowień!

„Mała Konwalijko"! Czy pamiętasz to nasze „dzikie" i tak wiotkie poznanie? O, — ja pamiętam i pamiętam jedną kochaną osóbkę, która mnie wycałowała!"

Wszystkim, którzy przesłali mi pozdrowienia — dziękuję i odwzajemniam!

A teraz Syria! Panu Handlapskiemu zdrowych imienin — dużo szczerych i serdecznych życzeń. Oby jak najrychlej spełniło się marzenie Pana!

## ZMIENIONY PSEUDONIM

*„Chińskie Oczęta"*. Rzadko piszesz, a w dodatku zmieniasz pseudonim — no, ale niech już tak będzie!

Baw się miło na wakacjach i uważaj, aby nie spotkało Cię coś przykrego! Apel Twój zamieszczam. A więc jedź i wracaj opalona i wypoczęta wspaniale!

„Halo! Tu „Chińskie Oczęta" — proszę „Krainiaków" z Gdyni o skrobnięcie do mnie listu, gdyż niedługo powitam polskie morze. Przedtem jednak chciałabym poznać tam jakiegoś starszego, sympatycznego, szczerego pana, który by zechciał mi towarzyszyć w zwiedzaniu miasta i okolicy. Więc który z „Krainiaków" zechciałby się dla mnie poświęcić, niech pisze zaraz na adres: „Chińskie Oczęta", Wiele, pow. Chojnice, Pomorze, poste-restante.

A i Wy, miłe dziewczynki z naszego grona, piszcie do mnie, będę Wam bardzo rada i w odpowiedzi poślę czterokilometrowy list.

Całą naszą „Rodzinkę" ściskam serdecznie, a „Siostrzyczki" całuję każdą z osobna.

# *Teczka Wujka Janusza*

## WIERSZE ZAWIODŁY!

*„Rowerzysta z nad Ikwy"*. Wierszyki mało ciekawe, daleko im do dobrej formy. Może powiedzie się Panu lepiej z prozą, radzę spróbować! Łączę przyjazny uścisk dłoni!

## A KIEDY...

*Sympatycznej Helence*
*poświęca — autorka.*

Kiedy z tęsknoty falą przypłynie
Ku mnie, chwil pięknych wspomnienie,
Kiedy mglista dal — zasłania mi
Tamte, przecudne dni —
To wtedy żal w mej duszy łka,
To wtedy oczy przesłania łza....
Bo — nigdy już nie wróci
Me cudne szczęście i miłość,
Bo złego losu zawiłość
Zniszczyła cudny kwiat —
A dzisiaj świat;
Wydaje się inny — ponury,
— Na horyzoncie chmury
Przesłaniają słońca blask.

— — — — — — —

Kiedy z tęsknoty fala przypłynie
Miłości tamtej wspomnienie....
To w sercu żal — a w oczach łzy
— Tak prędko prześniły się sny....!

*„Biała Uajali"*.

## CZEREŚNI BIAŁY KWIAT

Czereśni biały kwiat
Budzi wspomnienia z dawnych lat —
Pamięta baśń minionych dni
I w cichą noc prześnione sny.

Dziś na mą skroń opada znów
Przekwitłe kwiecie naszych snów
I wiedzie mnie w dzieciństwa świat —
Czereśni białej kwiat!

*„Biały Zwid"*.

## JUŻ NIE NASTĄPIĄ...

*„Iste"*. Pewny jestem, że teraz nie nastąpią już żadne omyłki, dzięki maleńkiej zmianie pseudonimu Pani. Wierszyk ładniutki! Zamieszczam go niżej i serdecznie Panią pozdrawiam!

## LOS

Tam, na jasnym niebie płonie
Złoty słońca szlak —
To ócz twoich cudne tonie,
Których wciąż mi brak.

Gdy zmrok spadnie znów na ziemię,
Płynie piosnka ma,
Szczera boleść w sercu drzemie,
Pieśń tęsknotą łka.

O, na próżno i daremnie
Wołam przeszły czas,
Nie przez Ciebie, nie przeze mnie —
Los rozdzielił nas....

*„Iste"*.

## PRZEBACZ...

Przebacz, że zawsze tylko smutek wnoszę,
W tę twoją jasną, uśmiechniętą duszę,
Przebacz, że zawsze tak tęsknię po tobie,
I dziś, i jutro, i o każdej dobie.

I chcę widzieć Cię znów, tak szalenie... już
Czemu, ach czemu nie jesteś przy mnie... tuż

— — — — — — —

Kiedyś, świeciły dla mnie oczy twoje,
Te najpiękniejsze na ziemi.... te moje.
Dziś, jeno gwiazdy mi świecą na niebie,
I wiecznie każą szukać wśród nich... ciebie.

Przebacz, że chciałam zabić własną duszę
Ach, gdybyś wiedział — to były katusze,
Przebacz i to, że po wszystkie moje dni,
Zostaniesz tym jednym, i najbliższym mi.

*Maria Czopanowska.*

## JESTEM GOTÓW!...

*„Bajka"*. Dziękuję za ujmujące życzenia, które przyszły w samą porę, bo właśnie myślę na serio o...... Zdania umyślnie nie dokończyłem, gdyż moi Sympatycy niewątpliwie zlękliby się o los mej „Teczki" i różne inne sprawy. To byłoby zaś zupełnie zbyteczne, tym więcej, że zasadniczo nic się nie zmieni i bynajmniej nie myślę o żadnej zmianie. Jednak... kończę, gdyż czuję, że i tak już mocno zaintrygowałem wszystkich Czytelników. Na pocieszenie więc dodam tylko, że jestem gotów wyjaśnić tajemniczość powyższej odpowiedzi, ale — na uszko...!

## MAM NADZIEJĘ!...

*„Dyktator"*. Wiersz Pana odłożyliśmy do teczki reklamowej, a nowelę, (ach, jak mi to trudno wymówić!)... do kosza redakcyjnego. Mam nadzieję, że po tym maleńkim karambolu nie opuści Pan rąk, ale konsekwentnie podejmie dalszą pracę nad swoimi zdolnościami i w rezultacie obdarzy mnie nowymi owocami swych natchnień.

Do widzenia zatem!

## NAD RZEKĄ

Szumią piosenkę drzewa
o szczęściu złotem tkanym,
o wielkiej miłości
o cudnym kochaniu.

Rzeka szemrze cichutko,
że szczęście wszędzie przychodzi...
Podumam nieco
i przejrzę się w wodzie.

A wiatr ukoi mnie znowu
i ześle piękne marzenie
— ulecą smutki,
uleci ode mnie cierpienie.

I wtedy będę szczęśliwy,
choć szczęście jest tak daleko,
podumam trochę
nad szemrzącą rzeką!

*Tadeusz Multański.*

## WIERSZYK PÓJDZIE NA OKŁADKĘ

*„Czarodziejka"*. Wiadomości, zawarte w liście Pani, zasmuciły mnie. Zastraszająca jest ta nieuczciwość, ludzi w stosunku do obcego dorobku. Po prostu opadają ręce z zniechęcenia! Dziękuję Pani, Droga „Czarodziejko", za poczynione uwagi i komunikuję Pani, że wierszyk „Rankiem" — jest śliczny i na pewno pójdzie na okładkę „Moich Powieści". Zadowolona Pani, prawda? Proszę przyjąć ode mnie dużo serdeczności! Dopisek Pani zamieszczam:

„Dla „Urana" i „Te-Ema" — uznanie i szczere pozdrowienia!

## ŻYCZENIA

*„Willy"*. Życzę Panu dużo szczęścia i zadowolenia w tej leśnej ustroni, z dala od gwaru świata i trosk ludzkich. Proszę przyjąć ciepły uścisk dłoni od starego przyjaciela!

## WSPOMNIENIE

Pamiętasz, właśnie miasto kładło się do snu...
W ulicach milkły kroki i gasły latarnie,
Wyludniły się place, kina i kawiarnie,
A w ciepłej ciszy nocy marły echa słów.

Był tedy lipiec. Na plantach krakowskich,
Co pierścieniem się wrosły w średniowiecznym
Rozkwitały przepyszne, purpurowe róże [murze
Powietrze ciężkie było od ich woni mocnych.

W ciężkie zawarte bramy, w okiennice senne
Krągły księżyc zaglądał po niebie żeglując,
Kładł się cicho po dachach jasno srebrną smugą,
A na złoconach wieżach rozpalał się w czerwień.

I wtedy niespodzianie tę uśpioną ciszę
Rozciął ostro jak szpadą krótki okrzyk nagły...
Tłum jakiś odparł wtórem, jakieś słowa padły,
I niosły się daleko w kamienne ulice...

Od bram uniwersytetu, w aleje pachnące
Szliśmy miarowym krokiem, ramię przy ramieniu.
Pieśń nasza potężniała. Przechodnie w milczeniu
Przystawali... krzyżując spojrzenia znaczące.

W domach otwarto okna... wokoło pomnika
Staliśmy... karne, milczące szeregi....
Z tyłu ciekawi, trochę tej podmiejskiej biedy,
W tłumie studenci, panny, obok robotnika.

Dalej szumiały drzewa w wietrze, który chłodził
Nasze twarze płonące... Nagle ktoś nieznany
Rzekł głośno, jakby przez kogoś pytany...
„Zbudzili miasto!... Zapaleńcy... Młodzi!..."

*Maria Naturska, Kraków.*

## HAWAJSKA GITARA

Za czym tęsknisz gitaro moja
Hawajska, której nazwę masz?
Dlaczego jęczą struny twoje.
I czy ty szczęście dasz?

Te tony smętne, ciche, marzące,
Jakby wspomnienia błogich dni;
Lub tak jęczące i konające,
Że na ich dźwięk, aż łzy mi szły.

Oj, ty gitaro hawajska, ty,
Poruszasz dawne, zamarłe sny.
Lecz mych szczęśliwych snów i dni,
Nie wzbudzisz nigdy, gitaro, ty.

*H. S.-S.*

## CHATEŃKO MOJA...

*Mateńce...*

Chateńko moja... Ty droga, maleńka...
Czemuż do Ciebie tak bardzo daleko?...
Za siódmą górą, za siódmą gdzieś rzeką,
W cieniu drzew stoisz, taka cichuteńka.

Co dzień przed tobą serce moje klęka,
Jak przed kaplicą... I łzy w gardle pieką...
I płyną moje łzy srebrzystą rzeką...
A w rozbolałej piersi serce pęka...

Co dzień wieczorem, u twych drzwi zamkniętych,
Przychodzę ból mój położyć na progu...
Modlić się tobie, jak się modlę Bogu...

I ucałować twe kochane progi,
Jako się stopnie miejsc całuje świętych...
I swe tęsknoty rozsiać na twe drogi.

*Irena Strzemię-Pieczkowska.*

jak niebo oczach, o jasnych falistych włosach, które układa z przedziałkiem na środku głowy.

Habsburg bezsprzecznie, ale może jest też w nim coś z chorobliwej urody księcia Reichstadtu, dziedzica wielkości napoleońskiej, uwięzionego w pałacu Schoenbrunnskim, którego łączyła tkliwa, serdeczna i czuła przyjaźń ze słodką arcyksiężną Zofią Fryderyką Dorotą Wilhelminą, matką Maksymiliana. Ale świat jest taki zepsuty, a ludzie opowiadają tyle dziwnych historii!

W czasie jednej ze swych podróży w roku 1852 arcyksiążę Maksymilian poznał w Lizbonie następczynię tronu brazylijskiego, córkę Don Pedra I-go, królewnę Marię Amelię, zakochał się w niej bezpamiętnie i wkrótce został jej narzeczonym.

Lizbona! Lizbona o małych uliczkach, wspaniałych pałacach, pięknych ogrodach palmowych i groźnym rytmie fal Atlantyku! Ileż to razy Maksymilian, wsparty o parapet swego okrętu, spoglądał rozmarzonym wzrokiem w stronę zachodzącego słońca i śnił o Brazylii, o tym czarownym, niezwykłym kraju, wywołującym coraz to wspanialsze obrazy w podnieconej wyobraźni.

Niezmierzone dziewicze lasy o nieznanych zapachach, tysiące pnących roślin, dzikie drzewa mangowe, soczyste pnie drzew kauczukowych, olbrzymie paprocie, rozległe przestrzenie, na których gauchowie uganiają się za tabunami dzikich koni. Rzeki najdłuższe w świecie, o wybrzeżach zamieszkałych przez wszelkiego rodzaju ptactwo, potop tropikalnej zieleni, niesamowite kłębowisko życia i śmierci wśród wonnej zgnilizny, rozkładu, życiodajnych nasion, fosforyzującego próchna. Omszałe groty, w których zalega odwieczna cisza, kręte błyskawice jadowitych wężów i wreszcie wielkie miasta pożądania i rozkoszy, rozbłyskujące nocą tysiącem namiętnych świateł.

Nie, nie jedna Brazylia, lecz wszystkie nowe światy, wszystkie dziewicze lasy, wszystkie królestwa! Coś, co by zapełniło pustkę bezczynnego serca! Kraina marzeń ujrzana w tęsknych i pełnych melancholii oczach, których spojrzenie przeniknęło w głąb jego duszy! Nostalgia dalekich krajów, miraż nowej ziemi, oszałamiające Eldorado, królestwo egzaltacji, którego dziedzictwo można zdobyć poprzez czułe serce pięknej, młodej księżniczki!

Jakże smutnym wydaje się Hofburg, gdy myśli biegną ku zaczarowanym pałacom Don Pedra, ku wspaniałym rezydencjom królewskim w Buenos Aires lub Rio de Janeiro. Niestety, piękna królewna staje się zwolna omdlewającym, przeźroczystym cieniem i cicho odchodzi z tego świata w dniu 4 lutego 1853 roku. Maksymilian po powrocie do Wiednia opłakuje swą niepowetowaną stratę; wieczorami myśli z tęsknotą o białych dłoniach zmarłej narzeczonej, zatraca się w marzeniach o zamorskim królestwie, o rajskiej roślinności, o rzekach kryjących złoto, o wspaniałych miastach i śni niespełniony sen o koronie, o władzy, o potędze.

W tym samym czasie Napoleon II, usidlony przez piękną Hiszpankę, ofiarowuje jej tron Francji. Skrzypce orkiestry pałacowej w St. Cloud, podczas wspaniałych ceremonii drugiego cesarstwa, śpiewają upojne walce naddunajskie, które podbiły serca wszystkich zakochanych Europy.

Wszystko to jest bardzo odległe w chwili, gdy księżniczka Karolina zostaje narzeczoną arcyksięcia. Królewna wpatruje się z miłością w portret ukochanego, na którym Maksymilian tak pięknie wygląda w czapce admirała, z ręką dumnie wsuniętą między złote guzy swego munduru. Marzące, lecz wyniosłe jak szczyt ośnieżonych gór, oczy, przypominają o Habsburgach, o Franciszku Józefie, o arcyksięciach Ludwiku Wiktorze i Karolu Ludwiku.

W maju 1857 roku, zakochana księżniczka jest tak pochłonięta marzeniami o swym pięknym arcyksięciu, który uczyni ją kr[illegible]ą a może nawet cesarzową, iż nie jest w stanie skupić myśli, gdy klęcząc w kaplicy usiłuje pogrążyć się modlitwie i w czytaniu „Naśladowania Chrystusa".

Jakaż trudna rola ją czeka, jaka skomplikowana przyszłość: bratowa cesarza Austro-Węgier! Dwanaście państw, wchodzących w skład Cesarstwa, dwanaście różnorodnych języków! Czyż trzeba będzie nauczyć się języka czeskiego o przeraźliwych spółgłoskach, a może węgierskiego o splątanych azjatyckich sylabach? Ach, właśnie rodzina cesarska przebywa teraz w Budapeszcie z arcyksiężniczką Gizelą, której stan zdrowia tak niepokoi cesarzową Elżbietę!

Mówią, iż cesarzowa jest najpiękniejszą amazonką świata. W Wiedniu wszyscy wiedzą jak pięknie dosiada swych bułanych wierzchowców. Może Karolina będzie mogła mówić do niej po imieniu i nazywać ją Sisi, jak jej najbliższa rodzina? Księżniczkę belgijską niepokoją jednak trochę te słynne konne eskapady przyszłej szwagierki. Podwaja więc godziny lekcji w ujeżdżalni i z zapałem uczy się języka włoskiego, gdyż już wie, że zostanie wicekrólową państwa włoskiego, wchodzącego w skład Cesarstwa Austriackiego.

Piękna i ciepła jest wiosna w wielkim parku Laekeneńskim. Dnie są tak długie, jakgdyby broniły się uporczywie przed nadejściem nocy. Jakiż piękny jest świat tej wiosny! Krzaki róż uginają się w cieplarniach pod ciężarem kwiatów; po stawie pływają łabędzie o niepokalanej bieli. Karolina marzy w zamyśleniu pod drzewami parku, w którym upłynęło jej dzieciństwo. Myśli o tym, iż wkrótce opuści to wszystko, co tak bardzo kochała; nie będzie już więcej widziała długich welonów deszczowych, snujących się nad polami Brabancji, ani fioletowych mgieł okrywających doliny; nie będzie już więcej przejeżdżała konno wzdłuż cienistych alei bukowych wśród jesiennego zapachu grzybów i świeżego chleba.

Życie składa się z chwil, które przemijają i z tych, które nadejdą nieznane a oczekiwane. Tam w Wiedniu też są mgły, okrywające przedmieścia, jest też śnieg, zaścielający białym całunem pałace Laxenburgu; Karolina widzi w swej wyobraźni okryte szronem świerki i lękliwe sarenki, liżące korę sztywnych, ogołoconych drzew.

O Boże, miej litość nad biednymi, cierpiącymi zwierzętami, i nad głodnymi ludźmi, i nad dziećmi, które zabija epidemia, i nad tymi nieszczęśliwymi, którzy czyhają na życie swych władców i których się traci o świcie! O Boże! miej w opiece mego narzeczonego arcyksięcia Maksymiliana i jego biedną, chorą siostrzyczkę Gizelę.

Wszystko co jest poza kręgiem jej miłości nie ma znaczenia. Cóż ją obchodzi, że król bawarski był obecny na wielkiej rewii na Polu Marsowym u boku Napoleona III i cesarzowej Eugenii? Cóż ją obchodzą wspaniałe przyjęcia w St. Cloud? I to, że wielki książę Konstanty tańczył w Pre-Catalan, i to że Disraeli przemawiał w Izbie Angielskiej, domagając się kategorycznych wyjaśnień od rządu! Maksymilian w początku czerwca uda się na Maderę i do Florencji, a potem popłynie z Livorno do Lizbony, by spędzić kilka dni na dworze portugalskim. Czy będzie znowu myślał o swej zmarłej narzeczonej i o utraconym królestwie? Stamtąd pojedzie do Londynu i wreszcie 20-go czerwca — o Boże jakże to jeszcze daleko! — przybędzie do Brukseli.

Czy zjawi się w mundurze oficera czy też admirała, a może włoży jakiś bardziej uroczysty strój? A propos, Karolina czytała w przeglądzie mody, iż w Paryżu młodzi ludzie ubierają się teraz bardzo dziwnie i śmiesznie. A hrabina de Reineville pisała: „Większość z nich wygląda jak uczone małpki w krótkich kurteczkach, krótkich spodenkach i kamizelkach, w małych kapelusikach na głowie, z małymi laseczkami w ręku, ale za to z długimi na 10 centymetrów wąsami".

Ciąg dalszy w nast. numerze.

**BOHDAN LEKSZYCKI** 1)

# Tajemnica inż. Sommersonne'a

POWIEŚĆ SENSACYJNA

## Prolog

Sześciu reporterów i korespondentów dzienników sosnowieckich i zamiejscowych miało dnia tego sensację.

Obracali w rękach komunikaty prasowe, wydane, jak codziennie, przez miejscowy wydział śledczy i z niedowierzaniem patrzyli w twarz kierownika brygady kryminalnej.

— I nic więcej, panie komisarzu? — zapytał wreszcie jeden z nich. — Żadnych szczegółów? Ależ to...

— Nic! — przerwał sucho stary policjant. — Mamy pewne podejrzenia, ale oczywiście...

Wymowny ruch ręką dopowiedział reszty. Nie potrzebują się fatygować, bo dochodzenie pozostanie tajemnicą.

Parę niewyraźnych pomruków, parę uścisków dłoni i reporterzy i korespondenci znaleźli się na podwórzu wydziału.

— I co? — zapytał jeden z nich.

— Musimy dać tak, jak jest... — odparł drugi. — Cóż zrobimy?

— Pewnie! Kto idzie do „Savoy'u"?

— Ja!

— A ja do „Locarna".

— I ja!

— Ja do redakcji, mam pilną robotę, ale potem wpadnę do was...

— No, dobra! Servus!

— Servus!

Przedstawiciele prasy, tego najpotężniejszego z mocarstw, rozeszli się. A nazajutrz we wszystkich dziennikach ukazał się komunikat policyjny, brzmiący dosłownie:

„Onegdaj około godziny 12.30 w południe miało miejsce wykradzenie zwłok 37-letniej Pauliny Staszowskiej, zamężnej, bezdzietnej, zamieszkałej ostatnio w Będzinie. śp. Staszowska przybyła wraz z mężem rano dnia 18 października do mieszkania swego brata, Emila Marczyka, zamieszkałego przy ulicy 3-go Maja w Sosnowcu. Staszowscy otrzymali eksmisję i mieli zamieszkać tymczasowo u Marczyka.

Wieczorem tegoż dnia Staszowska zaniemogła i zmarła przed przybyciem pomocy lekarskiej. Zawezwany na miejsce lekarz stwierdził śmierć wskutek udaru serca.

Ponieważ jednak zachodziło podejrzenie, że Staszowska nie zmarła śmiercią naturalną, zwłoki jej zabezpieczono. Urzędowe badanie lekarskie potwierdziło jednak pierwsze orzeczenie w tej sprawie, toteż zaniechano sekcji zwłok, a trupa wydano rodzinie.

Onegdaj, gdy zwłoki śp. Staszowskiej spoczywały w trumnie w mieszkaniu Marczyka, rodzina odeszła do drugiego pokoju, by spożyć obiad. Gdy po pół godzinie mąż zmarłej zajrzał do ubikacji, w której stały zwłoki, spostrzegł z przerażeniem, że trup zniknął.

Zaalarmowane władze nie ustaliły na razie sprawców wykradzenia zwłok. Śledztwo w toku."



**Dorothy Lamour, urocze zjawisko kinematografii amerykańskiej, w jednym ze swych filmów egzotycznych**

Wiadomość ta różniła się w poszczególnych dziennikach tylko tytułami, mniej lub więcej pomysłowymi. Nikt z dziennikarzy nie zadał sobie jakoś trudu osobiście zająć się tą sprawą.

Mieszkańcy Zagłębia komentowali wypadek kilka dni. Może to nekromani porwali zwłoki? A może mąż i brat zmarłej, otruwszy ją, lękali się wyjścia na jaw zbrodni i ekshumacji zwłok i dlatego ukryli je?

Ale jeszcze nie nadszedł listopad, a już zapomniała o tym publiczność, zapomnieli reporterzy i korespondenci. Pamiętała tylko policja, ale i ona, nie mogąc wyświetlić zagadki, zmuszona była odłożyć sprawę ad acta.

Działo się to w roku 1930...

## I.

## PRZYGODA POSTERUNKOWEGO 341

Noc z 11 na 12 listopada 1933 roku była wietrzna i dżdżysta.

Posterunkowy nr. 341, patrolujący ulicą Piłsudskiego, która jest najdłuższą arterią komunikacyjną w Sosnowcu, zatrzymał się we wnęce wejścia do narożnej księgarni u zbiegu z Aleją i wcisnąwszy się jak najgłębiej w zaciszny kąt, postanowił przeczekać gwałtowną ulewę, w którą zmienił się nagle drobny deszcz, siąpiący przed chwilą.

Już miał zejść ze schodków i ruszyć w dalszy obchód, ulewa bowiem minęła równie raptownie, jak się rozpoczęła, gdy w tym uwagę jego zwróciła jakaś wysoka, wybitnie szczupła postać niewieścia, idąca z walizką w ręce od strony Milowic.

Gdy później rozmawiał z kolegami o tym zdarzeniu, nie wiedział, dlaczego postać ta zaintrygowała go od razu, to wszakże pewne, że postanowił zatrzymać się we wnęce, póki nie minie go.

Miał jakąś dziwną pewność, że będzie przechodziła koło niego, toteż obserwował ją, nie ruszając się z miejsca.

Przechodząc obok płotu, okalającego boiska sportowe, oświetlona była uliczną latarnią, toteż posterunkowy zauważył, że miała na sobie bardzo długi, czarny płaszcz gumowy i takiż kapelusz z szerokimi kresami, których cień padał na twarz, nie pozwalając dojrzeć rysów.

Szła dziwnie sztywno. Policjant mógłby przysiąc, że nie zginała nóg w kolanach. Ręce w czarnych rękawiczkach również miała nieruchome. Nawet prawa jej ręka, trzymająca walizkę, była dziwnie sztywna.

Każdy człowiek, idąc — zwłaszcza idąc szybko — porusza miarowo rękami. Czynią tak wszyscy i dlatego nie zwraca się na to uwagi, wzrok bowiem i podświadomość przyzwyczaiła się już do tego. I dlatego też właśnie od razu wpada w oczy fakt, gdy ktoś idzie szybko, a ręce ma nieruchome.

Posterunkowy nr. 341 był na ogół niezłym obserwatorem. Noc wzmagała jeszcze jego czujność, a cóż dopiero mówić o takiej nocy jak ta, pochmurnej i deszczowej, gdy ulice były zupełnie wyludnione. Od godziny 11.30 do tej pory, to jest do godziny 1.45 tajemnicza nieznajoma była jedyną istotą, jaką widział policjant. Nic dziwnego, że obudziła jego zainteresowanie.

Tymczasem kobieta zbliżała się. Posterunkowy nr. 341 miał teraz stuprocentową pewność, że nie zgina ona nóg w kolanach. Jakim cudem może tedy iść tak szybko bez widocznego wysiłku? Czy ma protezy, czy też sztywne nogi? Chyba nie protezy, nie mogłaby bowiem chodzić bez kuli, lub chociażby bez lasek... I te ręce, te nieruchome, sztywne ręce?!...

Kobieta doszła do rogu Alei, wkroczyła na jezdnię. Za chwilę zrówna się z policjantem.

Ale co to? Cała jej postać jest nieruchoma... Korpus wydaje się zupełnie sztywny, również głowa na długiej, chudej szyi nie porusza się nawet na włos... Twarz, wzniesiona nieco do góry, ocieniona jest rondem kapelusza, ale policjant zdaje sobie nagle sprawę, że oczy jej w tym położeniu głowy mogą być utkwione tylko w jeden punkt, to jest w punkt, gdzie dachy domów stykają się z nieboskłonem... Nie patrzy pod nogi, nie widzi w ogóle ulicy...

— Nie patrzy w ogóle nigdzie!... — wyrwało się głucho z gardła podnieconego policjanta, bo oto kobieta zatrzymała się na ułamek sekundy naprzeciw niego, a twarz jej, oblana światłem latarni, stała się widoczną w najdrobniejszych szczegółach.

Te oczy!... Duże, szkliste, nieruchome, nieludzkie...

— Czy ona jest niewidomą? — zapytał się w duchu posterunkowy i zaraz zatrząsł się ze zgrozy.

Na policzkach kobiety, zapadłych nieco, widniały sine plamy, nos był wychudły i żółty, jak u nieboszczyka, a wargi miały kolor oliwkowy.

Tajemnicza postać skręciła nagle w miejscu i ruszyła Aleją w stronę przedmieścia Pogoń.

Gdy drżący z wrażenia policjant zdołał zejść ze schodków i spojrzał na nią, oddalona już była od niego około dwudziestu kroków.

Zdecydował się szybko. Bądź co bądź musi wyświetlić tę podejrzaną historię.

— Halo! — zawołał donośnym głosem.

Kobieta nie obejrzała się nawet.

— Halo! Halo! Stać!

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Zdawało się nawet, że zagadkowa postać przyspieszyła kroku.

Posterunkowy nr. 341 ruszył w ślad, nie żałując wytrenowanych nóg.

W tej chwili jednak osadził go na miejscu dziki śmiech.

Nieznajoma odwrócona była w jego stronę. Usta jej, szeroko otwarte, lśniły się wewnątrz, jakby miała podniebienie z polerowanego srebra.

Śmiała się chrapliwie, strasznie, nieludzko...

Policjant stał, jak skamieniały, a tymczasem kobieta, nie przestając się śmiać, ruszyła swoją drogą.

Gdy wreszcie posterunkowy nr. 341 przyszedł nieco do siebie, czuł się złamany fizycznie i psychicznie. Nerwy jego nie wytrzymały napięcia. Lękał się w sposób niewypowiedzianie przykry, groza przenikała go na wskroś, bał się po prostu ruszyć z miejsca.

Dopiero gdy minął go jakiś sierżant, wracający z hulanki i gwiżdżący wesoło, policjant zdecydował się pójść dalej.

Jednak do końca służby stał pod latarnią, nie mając odwagi zapuścić się w słabiej oświetlone odcinki ulicy...

II.

## DOROŻKA NR. 73.

Tej samej nocy o godzinie 2 dorożkarz nr. 73, odwiózłszy jakąś rozbawioną parę na Pogoń, wracał dla skrócenia sobie drogi przez ulicę Rudną.

Znalazłszy się ze swoim wehikułem, ciągnionym przez starą i wychudłą szkapę, na rogu Rudnej i Alei, zauważył wysoką i chudą kobietę, odzianą w czarny płaszcz i niosącą walizkę.

Zatrzymała go ruchem ręki, poczem w sposób jedyny w swoim rodzaju, zajęła miejsce w dorożce. Postawiła mianowicie walizkę pod przednim siedzeniem, poczem ująwszy jedną ręką zakończenie zwiniętej budy, a drugą żelazny pręt, bramujący kozioł — obydwoma naraz nogami skoczyła do wnętrza.

Dorożkarz zauważył ze zdumieniem, że obie jej nogi były sztywne, a ręce nie zginały się w łokciach. Chciał spojrzeć w twarz nieznajomej, ale nie mógł, zasłaniały ją bowiem szerokie kresy czarnego kapelusza, a w dodatku panował mrok, który słabo tylko rozjaśniała odległa latarnia.

— Dokąd mam zawieźć? — zapytał i zadrżał nagle, usłyszał bowiem za sobą jakiś niepokojący odgłos, ni to zgrzyt, ni to chrapnięcie.

Głowa siedzącej pochylona była na pierś tak nisko, że niemal zwisała. Przy tym wszystkim wydawała się dziwnie nienaturalnie skręcona w lewo.

— Co pani??... — zagadnął wystraszony.

— Czy pani chora?...

Znów ten niesamowity zgrzyt, czy chrapnięcie, a potem głuchy, urywany głos, jakby ze zdartej płyty gramofonowej:

— Na u-li-cę Że-la-zną...



**Miłe zdjęcie z biegu kolarskiego. Urocza dziewczynka umila strudzonym zawodnikom monotonną jazdę**

Po plecach doróżkarza, choć był to człowiek już starszy, który niejedno przeżył, przebiegł zimny dreszcz. Co za głos?!

Machinalnie cmoknął na konia i powóz potoczył się po „kocich łbach", zawrócił półkolem i sunął napowrót ulicą Rudną.

Doróżkarz nr. 73 był nieswój jakiś i tak zdenerwowany, że gdy przejeżdżał koło trupiarni szpitala na Lepiankach, lękliwie spoglądał w jej żółto pomalowaną bramę, czy czasem nie ujrzy czegoś niespodziewanego.

Ale nie zobaczył nic, natomiast twarz nieznajomej była teraz wzniesiona do góry i stary, obejrzawszy się na drzwi kostnicy, napotkał wzrokiem oczy swej pasażerki, utkwione w siebie.

Omal nie krzyknął z przerażenia. Oczy te, otoczone sinymi powiekami i głęboko podkrążone, odbijały jak szkło promienie księżyca, który wychylił się nagle z chmur, jak szkło były zimne, martwe, bez wyrazu.

Dorózkarz nr. 73, popatrzywszy w nie przez moment, odwrócił się szybko, bardzo szybko, by nie patrzeć w nie więcej. Włosy zjeżyły się na jego głowie, a palce u rąk stężały nagle, że omal nie wypuścił lejców.

Oczy te nie były bez wyrazu: czaiło się w nich jakieś piekelne szyderstwo; były zimne i nieruchome, ale drwiły...

I dorożkarz nr. 73 uświadomił sobie nagle, że twarz nieznajomej nie była twarzą, jakie widuje się codziennie, nie była twarzą istoty żyjącej...

Nie, to niemożliwe, to chyba jego zepsuty od kurzu starczy wzrok płata mu figle, albo księżyc, ta dziwna, świecąca kula, do której psy wyją, jak widział to nieraz...

Dorożka wjeżdża teraz na ulicę Żeromskiego i stary odważył się zerknąć poza siebie, księżyc bowiem znów ukrył się za chmurami, a ulicę oświetlał silny blask latarni łukowej.

Ale ledwo spojrzał, już ze zdławionym skowytem trwogi, odwrócił się i skulił na koźle.

Usta nieznajomej, usta wąskie, oliwkowe, prawie czarne, usta, odbijające od bladej, żółtej cery, rozchylały się zwolna w poczwarnym ,diabelskim uśmiechu...

Dorożkarz nr. 73 z jakąś pasją zaciął biczem chudą szkapę, która, zdziwiona tą niecodzienną brutalnością swego pana, wierzgnęła na znak protestu i przeszła w mocniejszego nieco kłusa.

— Hu, hu, hu... — śmiała się cicho nieznajoma, a śmiech ten mroził krew w żyłach starego dorożkarza, trzęsącego się teraz jak w febrze.

Ujął bicz i począł okładać nim konia, który galopem teraz przebiegł pod wiaduktem i wjechał w ulicę 3-go Maja, pędząc w stronę placu Kościuszki.

Gdy przejechali ulicę Browarną i zagłębili się w wiodącą pod górę uliczkę obok domów robotniczych huty „Katarzyna", stary opamiętał się, szkapa bowiem dyszała ciężko, a chude jej boki pokryły się potem, który pokleił sierść.

I znów słyszał śmiech.

— Hu, hu, hu... hu, hu, hu...

Ależ śmiech ten nie rozlegał się już za nim, a raczej obok niego, za domami...

Obejrzał się gwałtownie.

W dorożce nie było nikogo.

III.

## STRASZNA WIZYTA

Inżynier Zbigniew Kulicki wracał z teatru i mruczał gniewnie. Gdy opuszczał foyer nie było deszczu. Po niebie przewalały się co prawda wielkie chmury, co chwila przesłaniające żółty jak szafran księżyc, ale powietrze tak było czyste i orzeźwiające, że inżynier postanowił wrócić do domu piechotą. Głowa bolała go trochę, toteż przechadzka mogła mu przynieść ulgę.

Gdy jednak przechodził obok skweru przy ulicy Piłsudskiego, zaczął padać deszcz, zrazu drobny, później coraz rzęsistszy. Wiatr, który zerwał się nagle, skręcał tumany kropel i wnikliwą kurzawą docierał wszędzie. Gdyby bramy były jeszcze otwarte ,ale teraz, o północy,...



**Chińczycy w wojnie z Japończykami utworzyli szereg wojskowych formacji kobiecych. Na zdjęciu oddział kobiecy w marszu.**

Inżynier szedł tedy jak mógł najszybciej. Co za głupstwo, że nie wziął dorożki. Cienki płaszcz przemókł zupełnie i Kulicki czuł już chłodne dotyki wody na ramionach. A tu, jak na złość, jego willa tak daleko, prawie w Milowicach...

Gdy dotarł do bramy ogrodu, miał całe ciało tak mokre, jakby wziął przed chwilą prysznic.

Nie chcąc budzić starego służącego, który był jedynym (poza nim) mieszkańcem willi, dobył z kieszeni pęk kluczy i otworzywszy furtkę w murze, przez zalane wodą chodniki przedostał się do schodów.

Omal nie upadł na gładkich stopniach, podeszwy bowiem jego trzewików rozmiękły zupełnie i ślizgały się niebezpiecznie we wszystkie strony.

Wreszcie jednak otworzył drzwi korytarza, wspiął się na pierwsze piętro i ująwszy za klamkę drzwi, wiodące do gabinetu, wszedł do wnętrza.

Zaraz w progu zatrzymał się, zdziwiony. Lampa na jego wielkim, amerykańskim biurku paliła się, choć zgasił ją przed wyjściem do teatru, a stary Piotr nigdy nie przebywał tu w czasie jego nieobecności.

Kulicki badawczo rozglądał się dokoła. Lampa oświetlała tylko biurko, kasę ogniotrwałą i częściowo etażerkę, zapełnioną podręcznymi książkami, encyklopediami, słownikami, almanachami. Reszta pokoju tonęła w zielonym półcieniu abażuru.

Oczy inżyniera, oślepione jaskrawym światłem żarówek w korytarzu, mrugały bezradnie, choć instynktownie wyczuwał czyjąś obecność.

Nagle wzrok jego padł na kanapę. Siedziała tam kobieta w czarnym płaszczu. Rysy jej twarzy były niewidoczne, gdyż padał na nie głęboki cień kapelusza o szerokich kresach. Głowa, pochylona nisko na piersi, dziwnie skręcona była w lewo.

Kulicki poderwał się nerwowo. Kto to jest? Co tu robi? Jak się dostała?

W tej chwili kobieta podniosła głowę dziwnie szybko, za szybko... Jakby głowa ta osadzona była nie na ludzkiej szyi, a na sprężynie, zwolnionej teraz do normalnego położenia.

Chłodne, bezbarwne oczy bez wyrazu utkwione były w inżyniera. Lśniło w nich zielonawe światło lampy, przefiltrowane przez wzorzysty abażur.

Kulicki zastanawiał się teraz, czy światło lampy może tak lśnić w oczach ludzkich. Nie zdołał jednak skupić myśli na tym temacie ,bo zainteresowało go coś nierównie ważniejszego: dziwna nieruchomość postaci nieznajomej. Gdyby nie ten nagły zwrot głowy, robiłaby wrażenie manekina, lub...

Inżynier poczuł, że pot zrasza mu czoło. Nie, to absurd. Czyż on, zdecydowany pozytywista, może przypuścić choć cień prawdopodobieństwa podobnych bredni?...

— Co pani tu robi? Czego pani chce?... — rzucił ostro, chcąc zagłuszyć wewnętrzny niepokój, jaki nurtował w nim wbrew jego wysiłkom.

Nieznajoma nie odpowiedziała nic, wstała jednak z kanapy. Ale jak wstała! Przechyliła się mocno w tył, a gdy sztywne jej ręce (inżynier obserwował to z całym napięciem uwagi) dotknęły brzegu sofy, uniosła na nich korpus, po czym podrzucił nim gwałtownie i stanęła na nogach, równie sztywnych jak ręce.

Nim zdołał odsunąć się nieco, zbliżyła się do niego w dwóch krokach.

Straszna jej twarz, trupia twarz, naznaczona piętnem rozkładu, przysunęła się tuż, tuż do niego.

Jej zeschłe, koloru brunatno - zielonawego usta, otworzyły się i padło z nich jedno słowo:

— K...l...ucz!...

Wstrętny fetor gnijącego mięsa uderzył w nozdrza inżyniera. Cofnął się o krok w tył, zdjęty bezbrzeżnym przerażeniem i wstrętem, ale poczwarna zjawa znalazła się znowu tuż przy nim.

— K...l...ucz!... — powtórzyła chrapliwym głosem, a sztywna jej ręka wyciągnęła się w stronę kasy.

Kulicki instynktownie cofnął się w stronę drzwi, ale kobieta uprzedziła go. Jednym, nieprawdopodobnie wielkim susem zagrodziła mu drogę i przekręciwszy klucz, wyjęła go z zamku.

Przed oczami inżyniera zaczęły kręcić się coraz szybciej czarne i białe koła, mniejsze, większe, znów mniejsze. Stracił przytomność.

## IV.

## PÓŁMILIONOWE UBEZPIECZENIE

— Słucham ,słucham... A więc okradziono kasę... Co, co skradziono? Acha, biżuterię, gotówkę, plany wynalazków... No, no, słucham.... Willa inżyniera Kudlickiego przy ulicy Piłsudskiego... Tak, tak, załatwi się zaraz...

Dyżurny wywiadowca wydziału śledczego powiesił słuchawkę i otarł pot z czoła.

— Psia krew! — burknął — Mało było całej nocy... Godzina 6 rano i jeszcze...

— Co tam, Bielik? — zagadnął zastępca kierownika brygady kryminalnej, ukazując się w drzwiach sąsiedniego pokoju. Przed chwilą wrócił z obławy i wybierał się właśnie do domu, gdy zaintrygowała go telefoniczna rozmowa wywiadowcy.

Policjant w kilku słowach streścił zameldowanie.

— Pójdę osobiście na miejsce... — zadecydował zastępca — Kocmyra, Czerwiński i Stanek ze mną.

Furtkę otworzył im stary służący. Był blady i wzburzony.

— Z panem inżynierem nie będą się panowie mogli na razie widzieć... — oświadczył zaraz na wstępie — Silny wstrząs nerwowy, lekarz nie odstępuje od łoża...

— Czy inżynier widział sprawców?

— Tego ja nie wiem, ale przypuszczam, że tak, bo gdy o czwartej rano spostrzegłem pana leżącego na podłodze i ocuciłem go, był bardzo przerażony i dostał drgawek nerwowych. Zatelefonowałem tedy po lekarza...

— Pan spostrzegł włamanie?

— To nie było włamanie. Kasa została otworzona kluczem pana inżyniera, który nosi go stale przy sobie.

— Rozmawiał pan z inżynierem na ten temat?

— Nie, był na wpół przytomny.

— Więc skąd pan wie, co skradziono?

— Pan inżynier nie ma przede mną tajemnic. Mówił nieraz, że cały swój majątek w gotowiźnie przechowuje w tej kasie, a także plany swoich wynalazków. Co do klejnotów, to były to precjoza rodzinne, znane mi bardzo dobrze od wielu lat. Stale znajdowały się w kasie, a ta jest zupełnie pusta...

Łzy gniewu stanęły w oczach starowiny.

— Proszę nas zaprowadzić na miejsce — urzędowym tonem rzekł stary policjant.

W gabinecie wprawnym okiem rozejrzał się dokoła.

Kasa była wypróżniona ,ale nieuszkodzona. Nigdzie żadnych śladów gwałtu. Na dywanie błotniste odciski stóp. Czyich? Kanapa mokra na siedzeniu, jakby ktoś w mokrym ubraniu siedział na niej dłuższy czas. Pod kanapą mała kałuża wody, jakby ściekła z czyjegoś gumowego płaszcza. Pozatem nic, nic...

— Nie zauważył pan nic podejrzanego?

(Ciąg dalszy nastąpi).

zastają w skrzyni niemal czarodziejskim sposobem ugotowany i gorący obiad.

Rzadkie są tygodnie w ciągu roku, w których gospodyni posługująca się zegarem i mająca dobrze rozłożone zajęcia nie znalazłyby wolnej chwili dla siebie na przeczytanie gazety, nowej książki, na udział w zebraniu koła gospodyń, albo na posłuchanie pogadanki jakiejś instruktorki, czy nawet nadanej przez radio. Jest to zupełnie możliwe, ale tylko wtedy, gdy nie tylko całodzienne zajęcie jest wykonywane podług planu, ale i tygodniowe.

Jakże często spotykamy gospodynie, które wszystkie porządki spychają na sobotę i naturalnie wydążyć z nimi nie mogą. Jeśli jednak jeden dzień będzie przeznaczony na pranie, inny na naprawę bielizny, wietrzenie pościeli, jeszcze inny na pieczenie chleba, porządek gruntowny w kurniku i chlewie, na kąpiel i mycie włosów dzieci i swoich, to z samym sprzątaniem łatwo już sobie będzie można poradzić.

Z góry też trzeba dobrze obmyśleć, kiedy wypadną zajęcia, które można robić rzadziej niż raz na tydzień. Do takich należy: gruntowne sprzątanie strychów i piwnic, odświeżenie mieszkania, składanie letnich rzeczy przed zimą, a zimowych na wiosnę, wybór zapasów zimowych, sprawianie wieprzy i wyrób wędlin, konserwowanie jaj na zimę itd. itd.

Tu właśnie sprawne posiłkowanie się ołówkiem ma wielkie znaczenie. Nie zawsze można polegać na swej pamięci, ale notatnik, to wierny przyjaciel, który wszystko, co się w nim zapisze, przechowa do następnego roku, a gdy do niego zajrzymy na pewno nie zachowa sekretu dla siebie, ale odda go sumiennie gospodyni.

Pomiędzy jakąś pracą gospodarską w jednym a drugim roku może być kilka dni różnicy, ale pora zgadza się mniej więcej zawsze. Gdy więc zapiszemy sobie, że w 1935 roku kwaszone były ogórki 20 sierpnia, powidła śliwkowe smażone 10 października, kapusta dołowana 16 października, okna zaopatrzone na zimę 20-go — to w następnym roku będzie to doskonałym przypomnieniem i pozwoli z każdym rokiem ulepszać nasz rozkład pracy i sprawniej go wykonywać.

Zapiski gospodarskie nie powinny być prowadzone obszernie i rozwlekle, przeciwnie, wystarczy zanotować datę i rodzaj pracy, a taka krótka notatka lepiej się rzuca w oczy, przy przeglądaniu zapisków, niż wyczerpujący opis.

Niezmiernie pouczający dla gospodyń jest też zeszyt rachunkowy, bez którego dobra gospodyni obejść się nie może. Jeżeli jest niezbyt biegła w rachunkach, to może wciągnąć do pomocy męża albo dzieci uczące się w szkole, a prowadzenie najprostszych zapisków przychodów i wydatków, obliczenie co roku wartości tego, co się w domu znajduje, dalej inwentarza będącego w jej zarządzie — pozwoli na wyciągnięcie bardzo wielu wniosków i zorientowanie się, ile pieniędzy można wydać i ile oszczędzić. Jakie wydatki były zbyt duże i pochłonęły tę gotówkę, którą można było wydać na coś pożyteczniejszego. Zapiski pozwolą także na ułożenie „budżetu" tj. projektu wydatków na rok następny. Budżet musi być oparty na rachunkach z poprzednich lat, musi być zgodny z życiem i potrzebami rodziny, toteż nalepiej robić go wspólnie z mężem, a nawet ze starszymi, dorastającymi dziećmi, aby stosunek majątkowy z nimi nie był oparty na targach i kłótniach, ale na zrozumieniu potrzeb całej rodziny, wzajemnym zaufaniu i zgodzie. Mając zapiski z roku, a tym bardziej z kilku lat, zauważy się na pewno, który dział gospodarstwa ma najlepsze warunki do rozwoju i powiększenia dochodu. Ileż to razy słyszałam twierdzenie: „Świnie tanie, nie opłacają się!", — gdy jednak weźmiemy się do obliczeń, okazuje się, że z powodu tanich ziemniaków, dobrej szybko rosnącej rasy chów świń naprawdę przynosi zyski.

To samo dotyczy hodowli drobiu oraz wszelkich przetworów gospodarstwa. Która z gospodyń umie dobrze rachować, na pewno nauczy się przechowywać jaja na zimę w tych miesiącach, kiedy są tanie, a sprzedawać świeże w zimie po wyższej cenie. To samo dotyczy masła i innych zapasów. Należy to do całokształtu porządnej organizacji gospodarstwa i ma olbrzymie znaczenie dla każdego poszczególnego gospodartwa, zaś w całości, gdy weźmiemy pod uwagę, że w Polsce jest z górą 3 miliony gospodarstw wiejskich — ma doniosłe znaczenie dla naszego majątku narodowego.

Dobra gospodyni dąży do tego, żeby rozumnie i rozważnie kupować i sprzedawać wszystko to, co przez jej ręce przechodzi. Oto uzbierała parę mendli jaj, ma warzywa i miód na sprzedaż a musi za nie kupić obuwie dla dzieci, igły i nici, fartuch do robót gospodarskich itp. Nasze gospodynie nie wiedzą, że te drobne dochody za jaja, miód i warzywa, albo pierze, tworzą w całym państwie polskim setki milionów złotych. a te grosze wydane na nici, obuwie, garnuszek, stanowią więcej niż połowę wydatków całego państwa. Gospodyni wiejska i miejska, — zbiorowo wzięte — to największe kasjerki świata. Przez ich ręce przepływają niezmierne sumy pieniędzy. Jeden grosz oszczędzony dziennie przez każdą z nich utworzy zbiorowo przez rok wiele milionów złotych.

O tym znaczeniu, jakie w ustroju państwowym ma gospodyni polska powinna każda z nas wiedzieć, i odczuwać z tego powodu wielką dumę oraz poczuwać się do ogromnej odpowiedzialności. Da nam to silnego bodźca do rozumnej, zorganizowanej pracy, da natchnienie do wyszukiwania coraz to nowych sposobów udoskonalenia naszej pracy i radzenia sobie w spotykanych trudnościach.

Pomocą w tym będą przekazywane z pokolenia na pokolenie zalety dobrej gospodyni. A więc równomierna pracowitość, nie ta, która rwie z początku roboty, a po krótkim przeciągu czasu omdlewa, ale spokojna, miarowa, rozważna, dalej systematyczna staranność w wykonaniu każdej czynności, dokładna, wnikliwa, nigdy niepowierzchowna, ani pobieżna, A także przezorna punktualność! Najlepsze pożywienie, podane nie w swoim czasie, nie wyjdzie nikomu na zdrowie. Zaradna gospodyni wie, ile czasu wymaga wykonanie każdej czynności i rozkład pracy do tego stosuje. Ład i porządek ułatwia każdą pracę, a domowi choćby nawet najskromniejszemu, nadaje cechę wytworności, której brak zamożnym, a bezładnym mieszkaniom. Wreszcie zaradna gospodyni już przez to samo, że jest zaradna zyskuje zaletę niesłychanie cenną w życiu domowym, to jest pogodę, spokój i łagodność. Mogą one iść w parze z żywszą i z powolniejszą naturą, z wesołością i powagą, a zawsze ułatwiają współżycie całego domu.

Dobra gospodyni przez całe życie odczuwa potrzebę nauki i postępu. Co to za radość gdy na zebraniu kółka można się dowiedzieć, o nowym ulepszeniu w prowadzeniu gospodarstwa!... Jaka podnieta do czynu, gdy w gazecie albo w nowej książce przeczytamy pożyteczną, nieznaną dotychczas wskazówkę, nauczymy się nowego przepisu trwałych zapasów, smacznych pierników, lub tanich a dobrych ciast, gdy znajdziemy sposób na zaradzenie w jakiejś trudności wychowawczej. Tylko ta gospodyni może sobie radzić w trudnych i coraz nowych warunkach życia, która nie myśli, że wszystko umie, bo robi tak jak matka, babka i prababka robiła.

Praca, oparta na postępie, udoskonalaniu i uszlachetnianiu wszystkiego, co jest pod zarządem gospodyni, daje radość życia, wieczną młodość, promieniuje na bliższe i dalsze otoczenie, tworzy szczęście w rodzinnym gnieździe.

*X.*

## Letniskowe nakrycia i podwieczorki

Kwestia, jak nakryć stół i co podać na podwieczorek w okresie mieszkania na letnisku — albo też pod miastem w dworkach i willach — często niepokoi panie domu.

Dobrze więc będzie zestawić pokrótce, jakie są w takich warunkach wymagania estetyki, klimatu i — żołądków.

Dostosowując się do otoczenia, nakrywamy stół z największą prostotą, szarym lub wybielonym wiejskim płótnem i przybieramy go odpowiednio, nie krępując pomysłowości.

A więc np. kładziemy w pośrodku barwną chustkę chłopską, albo układamy na stole ludową krajkę. Jeśli nie posiadamy ani chustki, ani wstążki, możemy mimo to przybrać stół wdzięcznie liśćmi, gałązkami, kwiatami. Za miastem i na letnisku mamy je zawsze do rozporządzenia, a stół ozdobiony w ten sposób wygląda świeżo i pociągająco. Niemałą zaletą takiego nakrycia jest brak jakichkolwiek kosztów i obaw, że się jakaś ulubiona lub wartościowa rzecz zniszczy. Dobrze wyglądają również kolorowe obrusy.

Polne kwiaty w flakonie lub wazie — może być wyrób ludowy — są niezbędnym uzupełnieniem nakrycia.

Podobnie możemy nakryć stół w mieście, gdy podajemy podwieczorek w ogrodzie lub na werandzie.

A teraz — co podamy?

Otóż przede wszystkim tylko te rzeczy, które w upalne dni są najodpowiedniejsze, a najmniej sprawiają kłopotów, nie absorbują czasu na wymyślne przyrządzenia, a łatwo je nabyć na miejscu.

Zatem:

Lody, zamrażane kremy, chłodzące napoje, lemoniada, sezonowe owoce i jagody, maliny, poziomki z kwaśną lub słodką śmietanką. Wina musujące domowego wyrobu. Lody należą do chłodników, dostępnych w najskromniejszych domach, ze względu na niskie ceny jaj i mleka czy też jagód i na łatwość przyrządzenia ich naprędce.

Wytwornym, a zarazem pożywnym chłodnikiem jest słodka śmietanka ubita na sztywno, z dodatkiem wanilii i cukru do smaku. Po ubiciu stawiamy śmietankę na lód, a dopiero tuż przed wydaniem na stół wymieszamy ją z poziomkami lub z malinami i wypełniamy nią wydrążone marengi. Można ją też podać do andrutów, albo w ogóle do suchych ciastek, a w ostateczności samą.

Do chłodników niezbędny jest stały zapas andrutów i suchych, drobnych ciastek.

Dla dzieci okazały się higieniczniejszymi galaretki, zimne budynie, jagody z kwaśną lub słodką śmietanką. Słodkie pieczywa, pierniczki, biszkopty muszą być zawsze pod ręką tam, gdzie są dzieci.

Z powyższego zestawienia wynika, o ile łatwiej i taniej wypada letni podwieczorek na zimno, aniżeli na gorąco, połączony z przyrządzaniem czarnej lub białej kawy, herbaty, lub czekolady z dodatkami wcale nieraz kosztownymi. Zimne dania mają jeszcze i tę wyższość nad gorącymi, że można mieć wszystko do najdrobniejszego szczegółu włącznie, przyrządzone wprzód przed przyjściem gości, przez co pani domu unika niemiłego opuszczania przybyłych i krzątania się koło przyjęcia w ostatniej chwili.

Ponieważ dążymy we wszystkim do uproszczenia naszych czynności, więc zimne podwieczorki powitamy z uznaniem.

*K. H.*

# Ze świata

## Triumf konia w Anglii?

Londyński „Evening Standard" podkreśla fakt, iż w Anglii od czasu wojny wzrosło ogromnie zainteresowanie dla sportu jeździeckiego. W tej chwili np. istnieje w Anglii nie mniej niż 400 szkół jazdy konnej, do której uczęszcza ok. 40.000 osób. Poza tym ok. 50 tys. osób obojga płci uprawia sport jeździecki dysponując własnymi wierzchowcami.

Czy nie jest to nawrót do jazdy konnej — — zapytuje „Evening Standard" — reakcja przeciw nadmiernej motoryzacji i mechanizacji? Argument dziennika londyńskiego mógłby być przekonywujący ,gdyby nie to, że przeciwstawić można liczbie około 150.000 osób przekładających konia nad auto, jeszcze większy wzrost liczby tych, którzy przekładają motor auta nad trakcję konną. A pęd do automobilizmu jest w Anglii teraz tak silny, jak nigdy.

## Jelita jako schowek

Straż graniczna w Koszycach zaaresztowała pewnego osobnika, podejrzanego o przemyt złota i walut. Częste jego przejazdy przez granicę wzbudziły podejrzenie straży. Przeprowadzono osobistą rewizję, która jednakże nie dała rezultatu. Ponieważ istniały silne poszlaki, że dany osobnik jest przemytnikiem, przewieziono go do szpitala i tam prześwietlano promieniami Roentgena. Otrzymane zdjęcia dały wręcz sensacyjne wyniki. Stwierdzono mianowicie, że... jelita oskarżonego zawierały złote monety, złoty piasek oraz waluty zagraniczne, owinięte w pergamin, Czy i w jaki sposób wydobyto ten skarb z niezwykłego „schowka", o tym historia milczy.

# Raj kobiet

## Ażeby nam i z nami było dobrze

Ażeby nam i z nami było dobrze, tylko od nas samych zależy. Musimy wnieść więcej radości i wygody w życie codzienne. Urządzić sobie ognisko tak, ażeby nie z gniewem pracować, lecz z uśmiechem na twarzy. Miło w takim otoczeniu będzie przebywać całej rodzinie i chętnie zajrzy też do nas sąsiad, krewny, czy przyjaciel, bo każdy szuka słońca w życiu.

Pierwszym warunkiem zorganizowania życia i pracy wzorowej gospodyni jest dobre rozplanowanie domu i ustawienie sprzętów tak, żeby przy pracach domowych można było uniknąć zbędnej bieganiny. Bez względu na to, czy mieszkanie jest małe i skromne, czy obszerne i zamożne, dobry rozkład decyduje o wygodzie, toteż każda gospodyni winna obmyśleć dokładnie rozmieszczenie każdego sprzętu, zwłaszcza w kuchni, stanowiącej warsztat jej pracy zawodowej. Drugim warunkiem będzie praktyczny rozkład zajęć, obmyślany tak, żeby uniknąć ciągłej bieganiny, która zdziera siły i zabiera wiele czasu. Aby tego uniknąć trzeba rozplanować swe zajęcia codzienne, tygodniowe i zależne od pory roku.

Chociaż każde gospodarstwo ma swoje miejscowe warunki i jednej formułki dla wszystkich ułożyć nie można, jednak uda się według ogólnej zasady z grubsza naszkicować regulamin pracy wprowadzając przy tym zmiany zależnie od tego, czy w domu są drobne, średnie, czy dorosłe dzieci, oraz inni członkowie rodziny np. starsi rodzice, a także od tego, jakie są rozmiary gospodarstwa i jaki inwentarz żywy i martwy wymaga obsługi gospodyni.

Bardzo ważne jest urządzenie wygodnego pomieszczenia dla przygotowania paszy i wybór takich sposobów żywienia, które wymagają najmniejszego wysiłku, a jednak dają dobre wyniki. Tak np. dawniej co chwilę podtykano krowom słomę albo garść siana i mleka było mało, teraz żywi się je 3-razy na dzień, a mleka dają dzięki Bogu, coraz więcej.

Wiele sił i zdrowia kosztuje gospodynię dźwiganie saganów i parowanie ziemniaków dla świń, a jednak można tego uniknąć, parując ziemniaki w dobrym parniku i używając więcej surowych buraków, mąki, zbożowej i otrębów na karmę.

Dla kur sporządza się skrzyneczki samoczynne na paszę. Włożona w nie karma sama się sypie w miarę wyjadania jej przez drób.

Mleczarnie Spółdzielcze, odbiornice jaj ułatwiają przerób i zbyt produktów gospodarstwa, uwalniają gospodynie od pracy nad nabiałem, od wysiadywania godzinami na targach dla sprzedania kilkunastu jaj i paru osełek masła.

W gospodarstwie domowym nauka wprowadza też różne uproszczenia, które wymagają tylko przezorności i przygotowania zawczasu tego, co potem ulży w pracy.

Już wspomniałam o zaopatrzeniu gospodarstwa w wodę, Tam, gdzie założenie wodociągu jest niemożliwe, można zawsze urządzić zbiornik na wodę deszczową, nieocenioną przy praniu, szorowaniu, zmywaniu, podlewaniu kwiatów itd.

Inne uproszczenie i udogodnienie stanowi dogotowywacz, w którym pożywienie zagotowane przez czas krótki na ogniu, dochodzi pomału, zachowując cenne pierwiastki odżywcze, niezbędne dla zdrowia ludzkiego i tak cenione dziś witaminy!

Mając te wszystkie urządzenia, oszczędzające sił i pracy, można sobie rozłożyć na każdą porę czynności tak, żeby nie tylko im podołać, ale jeszcze mieć czas na zajęcie się dziećmi, Boć to stanowi główny, najważniejszy obowiązek matki, obowiązek, przy którym jej nikt zastąpić nie może.

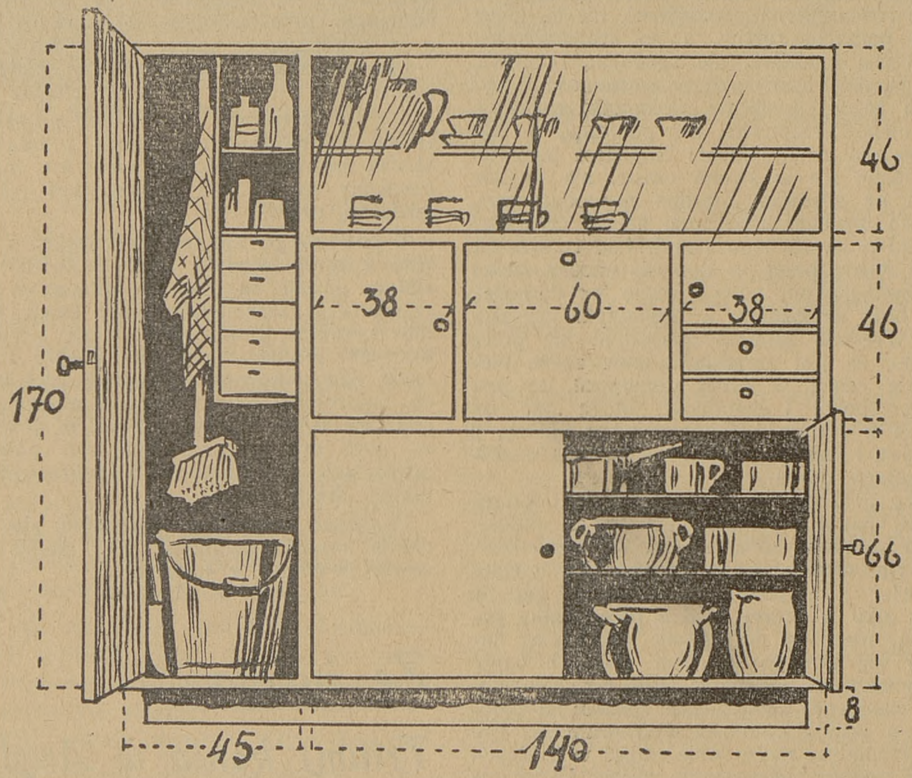
Jak sobie rozłożyć zajęcia? Aby to zrobić dobrze, trzeba mieć 2 rzeczy: zegarek i ołówek. Wprawdzie ludzie na wsi często się orientują w czasie i bez zegarka, ale to jest nie zawsze dokładne. Niekiedy czas się dłuży bez miłosierdzia, innym razem zdaje się uciekać tak, że nie wiadomo, gdzie się podział. Zegar pozwala z całą dokładnością ocenić, kiedy robota ma być rozpoczęta, czy trzeba z nią pospieszać, i kiedy należy przejść do innej. W czasie najbardziej wyczerpujących robót, gdy nadejdą żniwa, kopanie ziemniaków, zbiór i wyprawa lnu itd. najlepiej można ocenić wartość przyrządów oszczędzających pracę.

Oto dogotowywacz — prosta, szczelnie zbita z cienkich deseczek skrzynka, w niej duży garnek z pokrywką. Miejsca puste wokoło garnka i pod nim wypełnione sianem ubitym jak najszczelniej, na wierzch poduszka z siana. Gospodyni gotując rano śniadanie, nastawia jednocześnie obiad, a gdy się podgotuje przez kilkanaście minut, nakłada pokrywę, prędko wpuszcza garnek do skrzynki, otula go poduszką, zamyka wieko skrzynki, a gdy wszyscy zmęczeni i głodni przychodzą z pola do domu,

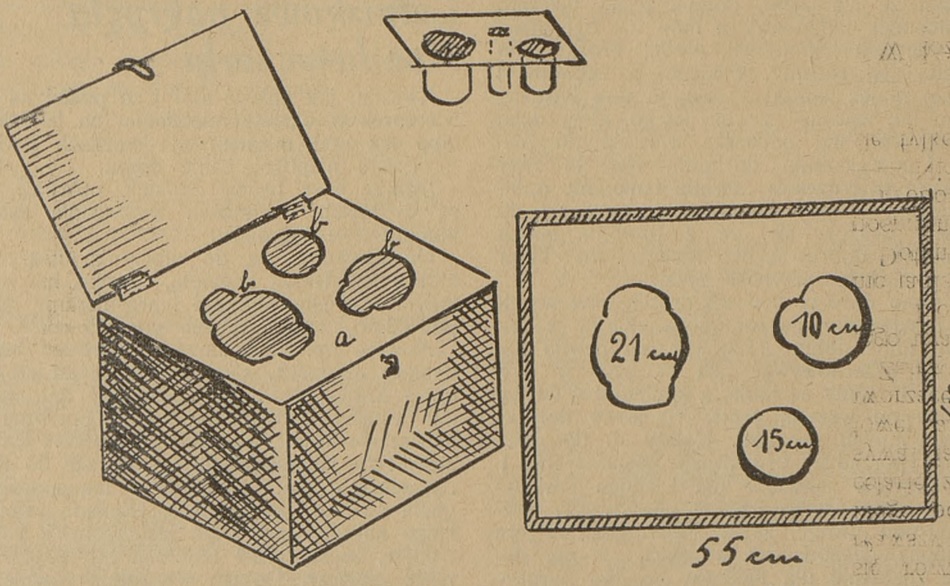
(Ciąg dalszy na stronie poprzedniej.)



Ameryka lansuje nowe letnie kapelusze o ogromnych, na modłę meksykańską skrojonych rondach. Oto taki model, wykonany ażurowo z jasnej słomki. Na kokardę i obrzeżenie kapelusza użyto welwetu. Kapelusz ten pięknie harmonizuje z dwuczęściową sukienką z wzorzystego jedwabiu, przybraną dużym kołnierzem i guzikami z welwetu, o kolorze tym samym, co kokarda na kapeluszu.




Idealny kredens kuchenny, w którym z łatwością można porozmieszczać wszystkie kuchenne przedmioty i sprzęty.




Praktyczny dogotowywacz, o którym jest mowa w niniejszym artykule

## *Fotografowanie całego nieba trwać będzie 50 lat*

W słynnym obserwatorium na górze Wilsona ma się w najbliższym czasie rozpocząć — jak donoszą z San José w Kalifornii — fotografowanie całego horyzontu. Prace nad tym olbrzymim zdjęciem mają trwać 50 lat. Dyrektor obserwatorium dr. J. Mose, zaznaczył, że podjęcie tego gigantycznego przedsięwzięcia umożliwił dar 65,000 dol. Za pieniądze te wybudowano największą astronomiczną kamerę świata o soczewce, której średnica wynosi 50 cm. Dokonanie tego zdjęcia umożliwi za 50 lat pomiary obrotów w naszym gwiazdozbiorze.

## *15-letnie akuszerki w Rosji*

Prasa donosi, że uczelnie sowieckie wypuszczają dyplomowane akuszerki w wieku 17 lat i zwraca uwagę, że młodociane te akuszerki jako niepełnoletnie nie ponoszą nawet odpowiedzialności wobec prawa za niedbałe wykonywanie zawodu itd. Ponadto prasa sowiecka pisze, że studiowanie akuszerii dla dziewczyny w wieku 15 lat jest zajęciem „nieco nieodpowiednim".

## *Zmarł najstarszy Austriak*

W Puchberp zmarł najstarszy człowiek Austrii, Józef Post, w wieku 105 lat. Był on żołnierzem i odbył w 1859 roku kampanię włoską, za którą cesarz Franciszek Józef osobiście udekorował go srebrnym medalem za waleczność. 1861 roku Post wyszedł z wojska i pracował jako kowal w swych rodzinnych okolicach w Puchberg. Nigdy nie był chory i twierdził, że od fajki i wina, które były stałymi jego towarzyszami, ciągle „młodnieje". Był wdowcem, a dziesięcioro jego dzieci umarło już dawno.

TADEUSZ RAWICKI

# Uratowała mu życie

(NOWELA)

Dziki, nieokiełznany wicher bezczelnie uderzył w białe okna małego pałacyku, metalicznie zadzwonił po szybach kroplami wody i zawył za ścianą przeraźliwie, żałośnie.

W tej samej chwili jasne płomienie świec znieruchomiały na moment, następnie pochyliły się kilkakrotnie i przyćmiły. Koszmarny cień położył się na białej karcie nut, na lśniących klawiszach fortepianu i na różowej twarzyczce młodej panienki.

Baśka momentalnie przestała grać. Jej delikatne palce zawisły nieruchomo nad klawiszami, jak szpony orła, a uszy łowiły subtelne echo walca rozbiegłe w przestrzeni pokoju. Szeroko rozwarte oczy, trochę smutne i przelękłe utkwiła w kwadratach szyb, za którymi szalała upiorna noc, lał deszcz i wicher odtwarzał swój szatański koncert.

Wtem do pokoju wszedł cicho młody mężczyzna, ubrany w uniform szoferski i stał długo, zanim zdecydował się otworzyć usta.

— Proszę pani, samochód czeka przed gankiem, zameldował wreszcie i nie czekając na odpowiedź, znikł za drzwiami.

Na dźwięk słów szofera Baśka momentalnie ocknęła się z zadumy i spojrzała na maleńki złoty zegarek, oplatający przegub dłoni.

— Szósta pięćdziesiąt, szepnęła zdziwiona, za piętnaście minut muszę koniecznie być na Placu Wolności. Przecież Mik będzie się niecierpliwił. Mój poczciwy, kochany Mik! Wyobrażam sobie jak przemoknie, oczekując mego przybycia.

Szybko narzuciła na siebie nieprzemakalny płaszcz, zdmuchnęła płomyki świec i wybiegła z pałacu. Natychmiast otoczyła ją noc i duże krople deszczu wesoło zaszeleściły po ceracie płaszcza.

Tuż przed werandą stał sportowy samochodzik. Po czarno lakierowanej jego karoserii spływały na ziemię strumienie wody. Baśka szybko wsiadła do wnętrza i dłonie jej spoczęły na kole kierownicy. Jednocześnie zawarczał motor i rozszedł się specyficzny zapach benzyny. W ciemność pobiegło błyskawicą oślepiające światło reflektorów.

W ślad za smugą światła potoczył się cień samochodu. Biegł kilkadziesiąt metrów żwirową aleją i szpalerem bezlistnych, zmoczonych drzew parku, a potem wyjechał na szosę.

Teraz Baśka silniej ścisnęła dłońmi kierownicę, stopami lekko zacięży!a na pedałach hamulców, zwiększyła bieg i samochód popędził jak wicher. Oświetlona strzałka szybkościomierza drgała nerwowo ,wskazując coraz to wyższą cyfrę. Lśniące krople wody rozbryzgiwały się na szybie samochodu tuż przed twarzą Baśki i spływały niżej. Przydrożne drzewa znikały błyskawicznie jedno za drugim, jak widma.

W oddali zakrwawiła się łuna miejskich świateł. Baśka zmniejszyła teraz nieco bieg auta i w kilka sekund później przed jej oczami mignęła pierwsza latarnia. Następna majaczyła niewyraźnie we mgle deszczu o jakieś trzysta metrów dalej.



Zaczynało się miasto.

Ludzie schronili się przed ulewą do domów — toteż ulica po której jechał samochód, była pusta i zamarła. Tylko płaszczyzna bruku, zalana wodą, lśniła w świetle latarń, jak jedno olbrzymie lustro.

Nagle Baśka dostrzegła sylwetkę jakiegoś mężczyzny, który stał samotnie pod drzewem. Nagie konary, parte siłą wichru, szamotały się w górze i pochylały nad stojącym, jak gdyby chciały go dosięgnąć, uderzyć, zmiażdżyć.

Nieznajomy snać usłyszał warkot motoru, bo odwrócił głowę i wtedy reflektory oświetliły jego twarz. Ponurą, gęsto zarośniętą twarz.

Tajemniczy człowiek zatopił śmiało swe dzikie oczy w rażących ślepiach samochodu i wolno wysuwał prawą dłoń z kieszeni nędznego płaszcza. Jeszcze chwila i w dłoni tej błysnął mały rewolwer.

— Bandyta! krzyknęła na ten widok Baśka i usiłowała zwiększyć bieg samochodu, lecz tymczasem uzbrojona dłoń podniosła się na wysokość głowy i lufa dotknęła skroni.

Za chwilę huknie strzał.

Baśka nerwowo nacisnęła guziczek sygnałówki i ostry gwizd rozdarł powietrze. W ten sposób dała znak i szalony człowiek zawahał się. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę. Pociągnąć za cyngiel i paść w błoto z rozbitą czaszką, czy też schować rewolwer i żyć dalej?

Wybrał to drugie bo opuścił upiorną dłoń, która miała wykonać samowolny wyrok.

Tymczasem Baśka, zatrzymawszy auto, wyskoczyła na bruk. Odważnie stanęła oko w oko z niedoszłym samobójcą.

— Pan się chciał zastrzelić? Pan taki młody i pełen sił? — zapytała prawie groźnie.

Tajemniczy mężczyzna stał przed nią, jak skazaniec, zmieszany, zawstydzony i pokorny.

— Tak, byłbym odebrał sobie życie, odpowiedział niesmiało, lecz szczerze.

— Więc ja przeszkodziłam panu?

— Pani, właściwie jej cudne oczy. W chwili gdy już miałem pociągnąć za cyngiel, ujrzałem za szybą samochodu pani ładną twarz i oczy szeroko rozwarte, przelękłe. Patrzyły na mnie błagalnie, jakby mówiły: nie strzelaj! Mimo woli ręka mi zadrżała, opadła i o to żyję. Nigdy teraz nie zapomnę tych oczu cudnych, którym zawdzięczam ocalenie i dla których naprawdę warto żyć, — powiedział nieznajomy, uchylił kapelusza, skłonił się i odszedł szybko w mrok słotnej nocy.

Baśka chwilę jeszcze stała zasłuchana w odgłos kroków odchodzącego, a potem wsiadła do samochodu.

Niebawem znalazła się na Placu Wolności. Skoro tylko zatrzymała samochód, nadbiegł młody mężczyzna był na wskroś przemoczony i powierzchnia jego gumowego płaszcza lśniła w blasku jaskrawych świateł, jak zbroja rycerza.

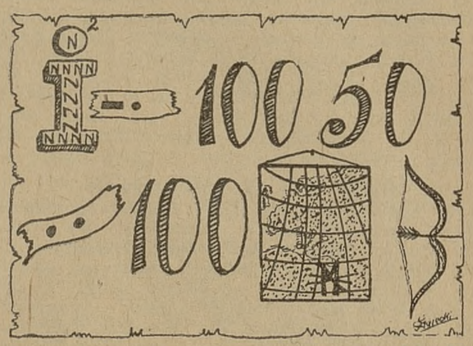
— Mik, krzyknęła radośnie Baśka, otwierając drzwiczki. A Mik usiadł obok niej i ściskając jej dłoń, powiedział: spóźniłaś się o pięć minut.

Wiem, lecz nie gniewaj się na mnie, drogi Miku, prosiła Baśka ,te pięć minut poświęciłam mężczyźnie, który w swą skroń wycelował rewolwer i tylko dzięki mnie nie strzelił.

## CHWILA ZASTANOWIENIA

REBUS

uł. F. Gałecki
(czł. War. Kl. Szar.)




Bilety wizytowe

ROMAN RITTE

ROMAN STO

ARTUR DMAG

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 15 lipca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 26 „Moich Powieści": 1) Łamigłówka: „Moje Powieści". 2) Krzyżówka: Kajak.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Bultrowicz Wacław — Gniezno, Molenda Jan — Chojnice, Lenart Tadeusz — Rakowice, Budzisz Herman — Wyszków n. B., Kiełpiński Ludwik — Bydgoszcz, Martoflowa Maria — Głowno k. Łowicza, „Orzeł Karpacki", Jabłoński Alfred — Śrem.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Molendzie z Chojnic i Budziszowi z Wyszkowa.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

**„Ostoja".** Z noweli p.t. „Zemsta" nie skorzystamy — za słaba do druku. Akcja tępa, styl za mało gładki i błyskotliwy. Czy mamy skrypt zwrócić? Natomiast drugą p.t. „Kaprys lasu" przyjęliśmy i w najbliższym czasie otrzyma Pani numery autorskie.

**P. Lala Pressówna.** Nowela Pani pt. „Kwiaciarka" zbyt nieprawdopodobna, styl dobry — gdyby zdecydowała się Pani na przerobienie treści, chętnie dalibyśmy ją do druku. Zatem czekamy na odpowiedź!

**P. Jan Polak.** Nowela Pana p.t. „Powrót do Boga" nie znalazła się w teczce przyjętych do druku. Fabuła jest dość dobra, lecz opracowanie, styl i pisownia pod wszelką krytyką. Jeżeli zależy Panu na zwrocie skryptów, prosimy o nadesłanie znaczków na porto.

# Radio

**Niedziela, dnia 10 lipca 1938 r.**

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa z kościoła O.O. Dominikanów we Lwowie 10.30 Muzyka 12.03 Poranek muzyczny z Wilna 13.00 „Książki mojego dzieciństwa" — wygł. G. Morcinek 13.15 Muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 „Miotełki warszawskie" z cyklu „Kurant staroświecki" 18.00 Podwieczorek z Bydgoszczy 20.05 Jan Brahms: podwójny koncert a-moll op. 102 21.00 Kukułka wileńska p.t. „Dziwna przygoda" 21.40 Transmisja międzypaństwowego meczu lekkoatletycznego Polska—Niemcy 22.10 Reportaż operowy „Cyrulik Sewilski".

**Poniedziałek, dnia 11 lipca 1938 r.**

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Moje wakacje" — powieść Starego Doktora dla dzieci 15.30 Muzyka lekka 16.00 Gra kwintet salonowy Stefana Rachonia 17.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry 18.10 Fragmenty kameralne 18.30 Audycja strzelecka 19.00 „Pieśni dziewczęce" — Brahmsa 19.30 „To i owo" — koncert rozrywkowy z Katowic 20.55 Audycja dla wsi 21.10 Transmisja z Budapesztu muzyki węgierskiej 22.00 Pięć wieków dawnej muzyki (audycja VI).

**Wtorek, dnia 12 lipca 1938 r.**

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Audycja dla dzieci „Na szerokim świecie" 16.00 Recital śpiewaczy Lucyny Szczepańskiej 16.45 „Motocyklem po Polsce" — opowieść Józefa Kempy 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert solistów 19.00 Chór męski „Echo" 19.30 „Radca Stroń na dancingu" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Muzyka taneczna — gra Mała Orkiestra P. R. 22.00 Koncert orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.

**Środa, dnia 13 lipca 1938 r.**

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Audycja dla dzieci „Wszystkiego po trochu" 16.00 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.45 Międzynarodowa wystawa lotnictwa sanitarnego w Luksemburgu — odczyt 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Miasto forsycji i dalii — pogadanka 18.10 Orkiestra smyczkowa Zw. Muzyków Chrześcijan 18.45 „14 lipca" — kwadrans poezji francuskiej 19.30 Koncert rozrywkowy 20.55 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chopinowski — transmisja do Londynu 22.00 Koncert kameralny.

**Czwartek, dnia 14 lipca 1938 r.**

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Moje wakacje" — powieść Starego Doktora dla dzieci 15.30 Muzyka lekka 16.00 Orkiestra rozrywkowa z Łodzi 16.45 „Poznajmy nieprzyjaciela" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.10 „Kościuszko w Łazienkach" — premiera słuchowiska St. Wasylewskiego 18.45 Fragmenty z dramatów muzycznych Wagnera 19.30 Lekka muzyka francuska — w przerwie „Cabaret artistique" 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Lehar — Kalman" — potpourri operetkowe 22.00 Muzyka francuska z okazji francuskiego święta narodowego.

**Piątek, dnia 15 lipca 1938 r.**

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Audycja dla dzieci — „A ty panie Fabijanie" 16.00 Muzyka lekka 16.45 Sąd pod turniami — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Tajemnicze promienie — wygł. dr. Jodko-Narkiewicz 18.10 Koncert solistów 19.10 Utwory wiolonczelowe w wyk. Tadeusza Kowalskiego 19.30 „Kocha nie kocha" — koncert rozrywkowy z Krakowa 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Ostatni piosenkarz Lwowa — Ludwik Ludwikowski 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela — audycja III.

**Sobota, dnia 16 lipca 1938 r.**

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci „Gdzie się podział cień" 16.00 Koncert muzyki lekkiej 16.45 Wiśnie dojrzewają w Holandii — feleton 18.10 Recital fortepianowy Berkwicówny 19.00 Arie i pieśni w wykonaniu Ireny Gadejskiej-Zelechowskiej 19.30 Po szklaneczce do piosneczki — audycja wokalna 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Audycja dla wsi 21.00 Polska kapela ludowa 22.00 Godzina niespodzianek (z Poznania).

# HUMOR

### PROFILAKTYKA

— Czy mąż pani nie cierpi czasem na wielkie pragnienie?

— Być może panie doktorze — ale on nigdy do tego nie dopuszcza.

### W TEATRZE

— Wiesz, duszko, mam straszne pragnienie. Pójdę do bufetu i wypiję bombkę wina!

— Ależ, Teofilu, przyrzekłeś mi dopiero wczoraj, że przez cały rok nie wypijesz ani kropelki piwa.

— Tak, ale widzisz przecież, w programie jest wyraźnie napisane, że między pierwszym a drugim aktem upływają dwa lata!

### WE DWORZE

Pan: — Zobaczcie no, Wojciechu, czemu ta suka tak bez żadnego powodu szczeka?

Chłop: — Ano, proszę jaśnie pana dziedzica zwycajnie, jak kobita...

### PRZESZKODA

W zacisznej alejce parku siedzą młodzieniec i panna.

Młodzieniec wzdycha i mówi:

— O, jakże chciałbym paść teraz przed panią na kolana i wyznać jej moją miłość! Niestety, boję się.

— Czego?

— Żeby mi szelki nie pękły, bo mam za krótkie...

### REKLAMA W U. S. A.

— Czemu pan(i) jest tak przywiązany(a) do życia, że skoro już za skromną sumę 8 dolarów może nasza firma urządzić panu(i) pogrzeb 1 klasy.

### RÓŻNICA

Kiedy dr. Schacht, dyktator finansowy Niemiec, powrócił do Berlina, zamówił sobie u krawca garnitur. Na pytanie o cenę, krawiec odrzekł:

— 200 marek.

— Jak to? W Paryżu zapłaciłem tylko 100?

— Nic dziwnego. Tam pan był „taki mały", a tu pan jest „taki duży".

### POMYŁKA

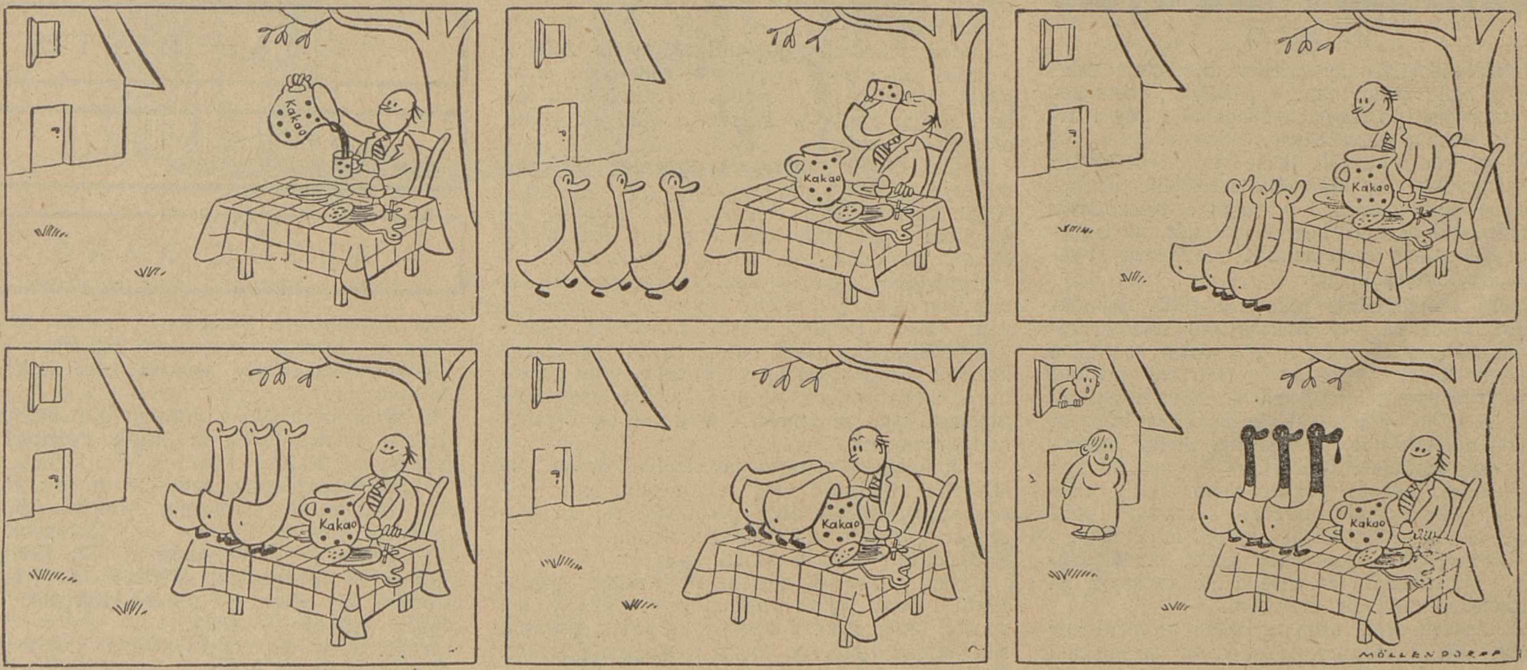
Fredzio spotyka Felusia.

— Skąd masz to podbite oko?

— Skąd? Czy pamiętasz tę przystojną brunetkę, która uważaliśmy za wdowę?

— Pamiętam.

— No, to ona nie jest wdową...




Przygoda na letnisku

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm. szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.